

**Rebecca Lang**

**Zorza polarna**

**SCAN**  
**dalous**

## Rozdział 1

– Po raz ostatni prosimy pasażerów First Nation Air, lot 821 do Yellowknife, Terytorium Północno-Zachodnie, do odprawy na stanowisku szóstym.

Młoda kobieta przy kontuarze w poczekalni dla odlatujących zaczekała, aż komunikat zostanie powtórzony po francusku. Dopiero wtedy dopiła swoją mocną kawę i wrzuciła plastikowy kubek do kosza na śmieci. Nagłe uczucie podniecenia z domieszką niepokoju kazało jej się zastanowić, czy mądrze było wypijać aż dwa kubki przed wyruszeniem w nieznaną.

Czekała do ostatniego wezwania, nie chcąc siedzieć długo w samolocie przed startem ani też tłoczyć się z pierwszą falą pasażerów. Co prawda wielkiego tłoku nie było. Wyglądało na to, że w samolocie do Yellowknife w północnej Kanadzie będzie co najmniej kilka wolnych foteli.

Dźwignąwszy swoje dwie pękate torby lotnicze, ruszyła w stronę stanowiska szóstego. Poczynając od Toronto, specjalnie dla niej rezerwowano miejsca w samolotach, jako że uważano ją poniekąd za ważną osobistość. Przynajmniej tak utrzymywano w zarządzie Northern Medical Development Corps, organizacji medycznej, która tworzyła sieć placówek leczniczych na Dalekiej Północy i która ją zatrudniła. Podejrzewała, że mówili tak tylko po to, by ją podnieść na duchu.

Jak dotąd miała wrażenie, że śni. Teraz dziwne uczucie pełności w żołądku uprzytomniło jej, że to jawa i że nie ma już odwrotu. Nie był to nawet ostatni etap podróży. Z Yellowknife trzeba będzie jeszcze lecieć do odległej miejscowości o nazwie Chalmers Bay, tuż nad Morzem Arktycznym, gdzie miała pracować przez sześć miesięcy.

– Proszę o kartę pokładową.

Walcząc z płaszczem, torbami, książką i gazetą wydostała kartę z bocznej kieszeni torebki.

– Dziękuję. Tędy, prosto.

– Dziękuję.

A więc to już! Na tych ostatnich metrach przed wejściem do samolotu nogi lekko jej drżały. Poczowała zapach paliwa.

Trzy tygodnie temu była jeszcze w Birmingham. Jej szpitalny kontrakt dobiegał końca i zastanawiała się, dokąd teraz rzuci ją los. Nagle wszystko potoczyło się bardzo szybko. W szaleńczym pośpiechu kompletowała dokumenty, planowała podróż i aż dotąd nie zdążyła złapać oddechu.

– W imieniu First Nation Air witamy na pokładzie. – To były dwie uśmiechnięte stewardesy. – Rząd dwadzieścia jeden, fotel H.

– Dziękuję.

Powoli przeciskała się wąskim przejściem między rzędami foteli. Był to znacznie mniejszy samolot niż ten, którym poprzedniego dnia leciała z Toronto do Edmonton i z pewnością mniejszy od tego, którym tydzień temu przeleciała Atlantyck. Ciekawa była, jaka maszyna zabierze ją w ostatni etap podróży.

Zerknęła na numer. To było jej miejsce, rząd 21, bliżej przejścia. Drugie zajmował mężczyzna, którego długie nogi ledwo mieściły się w przeznaczonym dla nich przestrzeni. Opuściła wzrok i napotkała jego oczy. Były szare, inteligentne i przenikliwe; wyrażały niewątpliwe zainteresowanie. A więc to będzie jej towarzysz podróży.

– Przepraszam panią.

Jeszcze jakiś spóźnialski przeciskał się obok niej przez wąskie przejście. Potrącona upuściła swoje pismo i książkę prawie na kolana siedzącego.

– Och, przepraszam! – Pochyliła się, żeby wziąć książkę; w tej samej chwili torba ześliznęła jej się z ramienia i plasnęła na puste siedzenie.

Nieznajomy uśmiechnął się, zbierając jej rzeczy. Ręce miał silne i zręczne, mocno opalone. Także twarz ma niebywale opaloną jak na początek maja, zauważyła z przelotnym zdziwieniem. Ten na pewno nie spędził ostatnich tygodni na Północy, nawet jeśli teraz tam się udaje. Wyprostował się z niedbałą swobodą.

– Pozwoli pani.

Wziął cięższą z dwóch toreb i umieścił ją, a potem jej płaszcz, w schowku na bagaż nad ich siedzeniami.

– Dziękuję.

Poczuła, że trochę straciła głowę, obca na nie znanym sobie terenie, w obliczu tego przystojnego nieznajomego, mówiącego z lekkim północnoamerykańskim akcentem, którego swobodny strój świadczył, że czuje się jak u siebie w domu.

Zadowolona, że pozbyła się ciężarów, opadła na siedzenie. Miała pozwolenie na przewóz większej ilości bagażu. Na sześć miesięcy w arktycznym klimacie potrzebowała sporo ubrań. Gdy już się wygodnie usadowiła, mężczyzna obok zwrócił się do niej znowu:

– Przepraszam, ale czy jest pani pewna, że siedzi pani na właściwym miejscu? Sądziłem, że to siedzenie jest zarezerwowane dla kolegi, z którym miałem podróżować.

Po raz pierwszy przyjrzała mu się uważniej.

Miał wyraziste rysy, prosty nos, pięknie rzeźbione usta i wydatną szczękę, która nadawała twarzy stanowczy wygląd. Gęste ciemne włosy były krótko ostrzyżone. Klasycznie przystojny, pomyślała, aż za przystojny. Wyglądałby jak z hollywoodzkiego filmu, gdyby nie żywa inteligencja w szarych oczach i przenikliwość spojrzenia, które wróżyły, że trudno by było coś przed nim ukryć. Co też jej chodzi po głowie!

– Hm... jestem pewna, że siedzę na właściwym miejscu. – Jeszcze raz sprawdziła wygniecioną kartę pokładową. – Oczywiście, proszę.

Podawała mu ją. Oględziny potwierdziły, że miejsce należało do niej.

– Dziwne. – Mężczyzna przyjrzał jej się z większą niż przedtem ciekawością. – Spodziewałem się, że spotkam się z doktorem Hargrove'em, Alanem Hargrove'em. Mam nadzieję, że jest w samolocie.

– To ja – odparła ze zdziwieniem. – Ja nazywam się Hargrove. Alanna Hargrove.

– Co takiego? To chyba jakaś pomyłka. Nic mi nie mówiono o kobiecie.

– A kim pan jest? – spytała bez ogródek.

Odpowiedź udaremnił interkom.

– Dzień dobry państwu – przemówił rzeński głos o wyraźnym kanadyjskim akcencie. – Witamy na pokładzie samolotu First Nation Air, lot 821 do Yellowknife. Lot będzie trwał około dwóch godzin i dwudziestu minut. Temperatura powietrza w Yellowknife wynosi cztery stopnie Celsjusza, pogoda jest słoneczna, widoczność dobra. Proszę zapiąć pasy i przygotować się do startu. Przypominamy, że na pokładzie samolotu nie wolno palić. Dziękuję. Życzę państwu miłego dnia.

Głos kapitana zastąpiła spokojna muzyka. Silniki z rykiem przyspieszyły obroty.

Jej towarzysz podróży odezwał się dopiero, gdy samolot nabrał wysokości, a w powietrzu rozszedł się miły aromat kawy, którą rozwoziły stewardesy.

– A więc doktor Hargrove, nowa siła zatrudniona przez Northern Medical Development Corps do pracy w Chalmers Bay, to pani.

– Tak. A pan jest zapewne doktorem Danem McCormickiem. Powiedziano mi, że prawdopodobnie będzie pan leciał tym samolotem.

– Nie, nie jestem Danem. – W jego głosie pojawiła się posępna nuta. – Wygląda na to, że ktoś tu coś zdrowo pochrzaniał. Pani spodziewała się Dana, a ja z całą pewnością nie spodziewałem się kobiety. Dan McCormick złamał nogę na nartach. Na razie jest wyłączony. Poproszono mnie, żebym go zastąpił. Nie mogę

powiedzieć, żebym szalał z radości. Spędziłem w Chalmers Bay zimę; takiego doświadczenia nie życzę najgorszemu wrogowi. Właśnie regenerowałem się na Barbados. Do głowy mi nie przyszło, że zaraz będę musiał wracać.

– Rozumiem.

W jej duszy zaczął kiełkować strach, że jeszcze nie dotarła na miejsce przeznaczenia, a już coś się źle układa. Niezbyt to dobry znak. W NMDC dużo słyszała o Danie McCormicku: mówiono jej, że świetnie zna warunki życia na Północy i chętnie jej pomoże. A teraz okazuje się, że musi zaczynać w towarzystwie tego obcego mężczyzny, najwyraźniej bardzo niezadowolonego, że ma za współpracownika kobietę.

– Co do mnie nie ma żadnego nieporozumienia – powiedziała. – Zostałam zatrudniona ponad trzy tygodnie temu. Kiedy doktor McCormick złamał nogę?

– Przed dwoma dniami. Telefonowali do mnie i on, i NMDC z Toronto. Tak nagle nie mogli znaleźć nikogo innego.

– Teraz to jasne – mruknęła. – Zanim zdołano mnie zawiadomić, co zaszło, ja wyleciałam już z Toronto.

Obok zatrzymał się wózek. Alanna ucieszyła się z chwilowej przerwy w rozmowie. Dobre stosunki z jedynym kolegą po fachu w tak odludnym miejscu jak Chalmers Bay były sprawą pierwszorzędnej wagi. To powtarzano jej nieustannie podczas krótkiego szkolenia w Toronto. Przetrawanie w takich warunkach zależy od wzajemnej współpracy. Ten człowiek zdawał się zapominać o owej dobrej radzie.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Owen Bentall. Wygląda na to, że jest nam przeznaczone pracować razem w Chalmers Bay... chyba że da się jeszcze temu zaradzić.

Ostatnie słowa zatarły miłe wrażenie, jakie zdołał przez chwilę zrobić.

Alanna odruchowo ujęła wyciągniętą dłoń. Serce podskoczyło jej w piersi, ale twarz pozostała nieruchoma.

– Miło mi – odparła oficjalnym tonem, w nadziei że nie daje po sobie poznać, jakiego doznała wstrząsu.

Więc to jest Owen Bentall! Tim, jej brat, opowiadał o nim często. Równie dobrze jak nazwisko pamiętała epitety, jakimi go obdarzał: bezlitosny... arogancki... zimny. Tim wiedział, co mówi... Nie uważała, żeby Owen Bentall był zimny, w każdym razie nie w stosunku do kobiet, mimo jego szyderczych uwag. Przy całym swoim zmieszaniu jasno to widziała. Tak... na pewno potrafi być bezlitosny, nie ma wątpliwości. Intuicja rzadko ją zawodziła. Co za dziwny zbieg okoliczności, że zamiast Dana McCormicka los postawił na jej drodze Owena

Bentalla. Zastanowiła się, czy on też wie, kim ona jest. Musi być bardzo ostrożna.

– A co Dan McCormick myślał o pani? To znaczy o perspektywie tak bliskiej współpracy z kobietą?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy ktoś go o to pytał. Czy to ma jakieś znaczenie?

– A pani uważa, że nie?

– Ja uważam, że w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku mężczyzna powinien traktować współpracę z kobietą jako rzecz normalną.

– Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, jak wyglądają warunki mieszkaniowe tam, gdzie lecimy, jak blisko siebie będziemy żyli... no, może nie spali razem, ale prawie.

– Dla mnie to nie stanowi problemu – odparła zimno, czując, że na policzki wypelza jej rumieniec. – I sędzę, że gdyby ktoś spodziewał się z tego powodu jakichś kłopotów, nie zostałabym zatrudniona.

– Proszę się nie łudzić! Lekarze nie tłoczą się w kolejce do pracy na Północy. Może w środku lata, na miesiąc albo dwa... to modne. Ale nie na pół roku. Jednak jak dotąd NMDC nie zatrudniało jednocześnie kobiety i mężczyzny, którzy nie są małżeństwem, To igranie z ogniem.

Mówił spokojnie, ale jego słowa brzmiały dla niej obraźliwie. A więc i z tym będzie musiała walczyć, nie tylko z przeciwnościami życia na Północy! A przecież nawet jeszcze nie wylądowali w Yellowknife. W jej głowie znów zabrzmiało echo słów Tima: bezlitosny... arogancki...

– Jeśli mówiąc to, chciał mnie pan zrazić, doktorze Bentall – powiedziała Alanna stanowczo, okazując spokój, którego nie czuła – to proszę przyjąć do wiadomości, że niełatwo się zniechęcam. Konieczność mieszkania z mężczyzną nie wydaje mi się niczym nadzwyczajnym. Mieszkałam tak na uczelni, w wieku osiemnastu lat, a potem jeszcze w różnych okresach życia. Swobodne, przyjacielskie stosunki z przedstawicielem płci przeciwnej nie są rzeczą niemożliwą.

Sztywny ton tej przemowy nie pasował do niej, ale jej duże piwne oczy bez mrugnięcia wytrzymały jego taksujące spojrzenie.

– Oczywiście – przytaknął jakby rozbawiony. – Tylko że na Północy jest trochę inaczej. Tak mało jest ludzi, z którymi można pogadać, z którymi ma się coś wspólnego... Bywa, że człowiek czuje się bardzo samotny...

– Tak, wiem. Sędzę, że większość czasu wypełni nam praca, a w pozostałym będziemy bardzo zmęczeni.

– Każdy musi mieć jakieś wytchnienie, inaczej szybko się wypali. Wiele kobiet uznałoby moje obawy za komplement.

Alanna spojrzała zdumiona i nagle zachciało jej się śmiać.

– Rozumiem, że jest pan mężczyzną staroświeckim, dbałym o honor i tak dalej. Ale proszę się nie obawiać, doktorze Bentall. Doskonale potrafię się o siebie troszczyć i radzić sobie z mężczyznami, którzy mnie nie pociągają, a także z tymi, którzy mnie pociągają. Więc może to pan powinien mieć się na baczności... gdy ja będę się namyślać. – Z satysfakcją stwierdziła, że jej towarzysz najwyraźniej osłupiał. – Jestem nowoczesną kobietą, nie biernym przedmiotem i jeśli trzeba, potrafię przejąć inicjatywę. Zacznijmy od płaszczyzny zawodowej i zobaczymy, dokąd dojdziemy.

Sama nie wiedziała, co w nią wstąpiło, wiedziała tylko, że nie może się powstrzymać. Ze złośliwą przyjemnością przekłuwała balon jego ewidentnej pychy, rozbijała w pył jego stereotypowe przekonania. Już się go nie bała. Zanim odzyskał mowę, pojawił się opakowany w folię lunch na plastikowych tackach.

– Czy mogę nazywać pana Owenem? – spytała słodko. – Ja mam na imię Alanna.

Jedli w milczeniu. Alanna uśmiechała się do siebie, gdy on energicznie atakował swój stek zupełnie nieodpowiednimi do tego celu plastikowymi sztuczkami. Wreszcie przy kawie przemówił znowu.

– A więc pani ten układ odpowiada?

– Tak... najzupełniej.

– Możemy spróbować to jeszcze zmienić. W Yellowknife jest biuro NMDC. Może zorganizują nam jakąś zamianę... Ktoś stamtąd na przykład pojechałby do Chalmers, a pani zostałaby w tamtejszym szpitalu;

– Po co miałabym tam zostawać? Przejechałam kawał drogi z Anglii, żeby pracować w Chalmers Bay i tam właśnie się wybieram. Może pan poprosić w Yellowknife o zastępstwo dla siebie, jeśli pan absolutnie nie chce pracować ze mną. Chociaż wydaje mi się to zupełnie niesłychane. Czy to po prostu przesady?

Dziwna rozmowa, jak na ludzi, którzy widzą się po raz pierwszy w życiu. Różnych przeciwności się obawiała, ale nie pomyślała o przesadach.

– Dobrze, dobrze! – Uniósł ręce w żartobliwym geście kapitulacji. – Chciałem pani tylko umożliwić odwrót, to wszystko.

– Może pan sam z niego skorzystać, został pan zatrudniony dwa dni temu. Ja złożyłam podanie o tę pracę dwa miesiące wcześniej i ponieważ czekałam na odpowiedź, nie szukałam niczego innego. A więc szczerze mówiąc, teraz

potrzebuję pieniędzy, a ta praca jest bardzo dobrze płatna. Zresztą nie chodzi tylko o pieniądze. Zobaczyć Północ to niezwykła przygoda zarówno z zawodowego, jak i osobistego punktu widzenia.

Wpatrywał się w nią w milczeniu tak długo, aż zyskał pewność, że ironiczny wyraz jego twarzy w pełni do niej dotarł.

– Proszę nie zapominać, że ja jestem starym wygą, a pani musi się wszystkiego nauczyć. To potrwa.

– Trudno nie zauważyć, że nie pozwoli mi pan o tym zapomnieć. Ale ja jestem dobrym lekarzem, czy to na północy, czy na południu, czy na wschodzie, czy na zachodzie. Pracowałam długo na oddziale urazowym bardzo dużego szpitala. Nie ma takiego typu urazu, z którym bym się nie spotkała. Uważam, że mam bardzo wysokie kwalifikacje, inaczej nie zostałabym przyjęta. Mam też za sobą staż na położnictwie, zresztą to, jak panu wiadomo, było jednym z warunków... Nie przypuszczam, żebym tam na Północy zetknęła się z czymś, z czym nie będę umiała sobie poradzić.

– Rozumiem. A jednak rok temu mieliśmy w Chalmers innego angielskiego lekarza, który też uważał, że potrafi sobie ze wszystkim poradzić... i przekonał się, iż nie potrafi.

Tim, pomyślała z goryczą. Kochany Tim...

– To był dobry chłopak, dobry lekarz – ciągnął Owen Bentall. – Zawiódł się, bo myślał, że sprzęt i całe zaplecze będzie miał takie jak w Anglii. Sęk w tym, że na Północy często w ogóle nie ma żadnego zaplecza. Między innymi to stara się zmienić NMDC.

Alanna musiała się ugryźć w język, żeby mu nie przerwać i nie okazać wzbierającego w niej gniewu. To, co mówił, nie zgadzało się z wersją Tima, a od Tima słyszała tę historię wiele razy.

– Czy pan był zatrudniony razem z nim? – spytała, choć znała odpowiedź, ale chciała usłyszeć ją od niego.

– Nie... z nim pracował Clinton Debray. Ja przyjechałem później, kiedy wynikły pewne problemy.

Szczególna nuta w jego głosie dała Alannie, wrażliwej na takie subtelności, poznać, że nie ceni zbyt wysoko swojego kolegi Debraya.

Przynajmniej pod tym względem zgadzali się z Timem. Gdy Tim wrócił do Anglii, po śledztwie i oddaleniu oskarżenia o błąd w sztuce lekarskiej, opowiadał jej o Clintonie Debrayu. Nieuku i pijaku. Taka była ocena Tima. Niestety Tim, jako człowiek z zewnątrz, był mu służbowo podporządkowany. Słyszała także o Owenie



Bentallu, który przyjechał rozwikłać sytuację...

Teraz jest idealny moment, żeby mu powiedzieć, że ten angielski lekarz to jej przyrodni brat, Tim Cooke. To był jeden z powodów, dla których starała się o pracę w Chalmers Bay przez tę samą organizację, która zatrudniła Tima. Instynkt nakazał jej milczenie. Jeśli ma prowadzić jakieś własne, dyskretne poszukiwania, aby bardziej zbliżyć się do prawdy, będzie miała większe szanse, jeśli nie ujawni, że jest spokrewniona z Timem.

– I uważa pan, że ja wpadnę w tę samą pułapkę? – spytała chłodno.

– To nie jest wykluczone. Tam warunki bywają bardzo ciężkie i prymitywne.

– Słyszałam to już do znudzenia. Walka z przyrodą może być przyjemną odmianą po walce z problemami wielkich miast. Proponuję, doktorze Bentall, żebyśmy postarali się jakoś współpracować, być dla siebie uprzejmi i uczynni, tak jak to zaleca swoim pracownikom NMDC.

Zerwała się i umknęła do łazienki, świadoma, że policzki jej płoną. Za zaryglowanymi drzwiami opłukała twarz zimną wodą. Z lustra spojrzały na nią oczy rozczarowane i gniewne. Jej kontrastująca z miedzianorudymi włosami blada, wrażliwa skóra podatna na piegi ujawniała niemal wszystkie emocje zdradzieckim rumieńcem. Niech on sobie myśli, że ma do czynienia z miejską panienką, która na tej całej Północy padnie jak ścięty mrozem kwiat. Ale jej życie nie oszczędzało. Po Owenie Bentallu widać było, że pochodzi z bogatego środowiska. Widocznie uważał za oczywiste, że ona też. Cóż... może się okazać, że to ona nauczy go tego i owego.

Gdy opadła z powrotem na fotel, Owen Bentall zmierzył ją długim spojrzeniem od stóp do głów, uśmiechnął się leniwie, z podziwem w oczach, i wyciągnął rękę. Ma piękne zęby lśniące naturalną bielą, pomyślała cynicznie, czując zarazem, że trochę jednak ulega jego urokowi.

– Zaczniemy od nowa – zaproponował. – Jeszcze raz od początku. Co pani na to?

Alanna, nieco zakłopotana, ujęła jego dłoń.

– Tak... dobrze, oczywiście.

Zetknięcie z tą ciepłą ręką wywołało w niej dziwne uczucie. Powoli wycofała dłoń, usadowiła się wygodnie i zamknęła oczy. Dość już gadania. Nagle w jakiś nowy sposób zaczęła odczuwać jego bliskość. Niechętnie dopuściła do siebie natarczywą myśl, że może i jego zastrzeżenia nie były tak całkiem bezpodstawne...

– Panie i panowie, proszę o uwagę – odezwał się rześki, profesjonalnie radosny głos stewardesy. – Wkrótce lądujemy na lotnisku w Yellowknife. Proszę

sprawdzić, czy bagaż podręczny jest zabezpieczony i zapiąć pasy. First Nation Air  
dziękuje państwu za lot i wita w krainie zorzy polarnej.

## Rozdział 2

– Dlaczego pierwsze dziecko musiałaś rodzić w mieście?

To pytanie skierowała Alanna do pacjentki pod koniec pierwszego dnia pracy w Chalmers Bay. Miała wrażenie, że od dziewiątej trzydziści przez jej małą poczekalnię przewinęła się przynajmniej połowa populacji wioski, od dwóch tygodni pozbawionej lekarza.

Młoda Inuitka, do której się zwracała, nieśmiało spoglądała z kozetki na lekarkę, myśląc, jak bardzo jest ładna z tymi wielkimi jasnymi oczami i płomiennymi włosami.

– Dziecko ... bardzo duże. Mmm... macica nie kurczy się dobrze, lekarz powiedział. Dziecko nie idzie szybko.

– Rozumiem, Lynne.

Alanna stała przy wąskiej kozetce, która prawie wypełniała maleńki pokój ambulatorium. Powoli przeglądała kartę. Od dziś będzie dość często widywać tę kobietę.

– Widzę, że nie było postępu porodu. Tak... tutaj mamy to opisane. To doktor Bentall badał cię jako ostatni przed porodem i on skierował cię teraz do Edmonton.

Lynne Nanchook westchnęła.

– Nie chcę jechać, zostawić syna, męża... matkę. To tak daleko. Mój syn... nie rozumieć.

– Wiem. – Alanna uśmiechnęła się życzliwie i poklepała nabrzmiąły brzuch. – Ale mamy jeszcze czas. Może doktor Bentall zmieni zdanie. Ale wtedy rzeczywiście skończyło się na cesarskim cięciu, więc jest prawdopodobieństwo, że i tym razem to będzie konieczne.

– Nie można zrobić tutaj, w klinice? – zapytała młoda kobieta. – Nie chcę do miasta. Nikt mnie tam nie zna. Proszę.

– Może ktoś pojechałby z tobą i został jak długo będzie trzeba? Na przykład matka?

– Pielęgniarka jechać ze mną, ale musieć wracać. Matka bać się miasta.

Chwilowo bezradna, Alanna uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu.

– Postaraj się teraz o tym nie myśleć. Ustalimy wszystko z doktorem Bentallem.

– Nie chciała szukać zwady ze swoim współpracownikiem przez choćby cień opozycji wobec jego postanowień albo sugestię, że zabieg dałoby się

przeprowadzić na miejscu. – Posłuchajmy teraz tętna dziecka, a potem poproszę doktora Bentalla, żeby z tobą porozmawiał.

– Dziękuję... dziękuję.

Alanna przyłożyła jeden koniec stetoskopu do ucha, drugi ostrożnie ulokowała na brzuchu pacjentki. Nachyliła się i wsłuchiwała w ciche, pospieszne tętno płodu bezpiecznego w łonie matki. W tej chwili uprzytomniła sobie, że Owen stanął za nią. Choć się nie obejrzała, wiedziała, że to on, że to jego ciepła dłoń spoczęła przelotnie na jej ramieniu. Jeszcze nigdy liczenie tętna płodu nie zajęło jej tak dużo czasu.

– Kłopoty z lokalizacją serca płodu, doktor Hargrove? – W jego głosie słychać było rozbawienie i, przynajmniej tak to brzmiało w jej wyczulonych uszach, kolejna insynuacja.

– Nie... nie. Po prostu nie spieszę się, bo Lynne jest już ostatnią pacjentką.

Wolałaby, żeby jej nie dotykał. Wyprostowała się powoli i odłożyła stetoskop. Dla trojga ten pokój był za ciasny. Owen był barczysty i nawet gdy Alanna przywarła do ściany, żeby mógł dobrze widzieć pacjentkę, ich ramiona się stykały.

– Słyszałem, że mówiłaś coś o mnie, Alanno. Wszystko w porządku? Jak ciśnienie?

– Prawidłowe. Lynne właśnie się zastanawiała, czy naprawdę musi jechać na poród do miasta, czy gdyby się to okazało konieczne, nie moglibyśmy przeprowadzić cesarskiego cięcia tutaj.

Gdy brał od niej dokumentację, ich dłonie się musnęły.

– I co jej powiedziałaś?

– Ty już przecież zdecydowałeś, że powinna jechać.. . To ty ją do tej pory badałeś, dlatego skierowałam ją do ciebie.

– Ach, tak... pamiętam. Za pierwszym razem nie było postępu porodu, Lynne. Na jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent tym razem będzie to samo. Tam była dysproporcja... położenie poprzeczne. Moglibyśmy operować tutaj, ale gdyby coś szczególnego było potrzebne dziecku, gdyby na przykład urodziło się za wcześnie, z tym wyposażeniem i personelem nie poradziłibyśmy sobie tak dobrze. Na pewno wszystko przebiegnie pomyślnie, jednak dziecku będzie trochę lepiej na oddziale dla noworodków, pod opieką pediatry.

– Och... – Młoda kobieta najwyraźniej nie była zadowolona.

– Zobaczmy. – Owen uśmiechnął się do niej. – Teraz nie ma się co martwić. Możesz się ubrać. Przyjdź za dwa tygodnie. Teraz jeszcze za wcześnie, żeby się dało przewidzieć, jak duże będzie dziecko i jakie będzie jego położenie w macicy.

OK?

– Tak. Dziękuję, panie doktorze.

Alanna pomogła jej zejść z kozetki. Po wyjściu Lynne zostali sami.

– Nie gryzę. Nie musisz się tak przytulać do ściany. Proszę. – Podał jej historię choroby. – Zapisz obserwacje i nie zapomnij podpisać. Podpisuj każdą swoją notatkę. To konieczne ze względu na... hm... ewentualne kwestie prawne. Pamiętaj, opisuj wszystko szczegółowo. To ważne nie tylko dla pacjentów, ale i dla nas samych. Potem przyjdź do saloniku na herbatę. Pogadamy o dzisiejszych przypadkach.

Ku *jej* zmieszaniu stał nad nią i patrzył, jak wpisuje do historii choroby ciśnienie Lynne Nanchook, jej wagę, wyniki badań morfologii i moczu, wielkość macicy i tętno płodu.

– Uważasz, że wielkość macicy odpowiada terminowi porodu? – spytał nagle. – I co sądzisz o skierowaniu jej do miasta?

To przeszuchanie zbiło ją z tropu. Czowała, że ręka, którą pisze, drży pod jego wzrokiem. Niech go cholera!

– Myślę... Wydaje mi się... – zająknęła się, ale zaraz odzyskała pewność siebie.

– Wielkość macicy jest odpowiednia do zaawansowania ciąży zgodnie z datą ostatniej miesiączki. A co do wyjazdu... to będzie w lecie, ale wolałabym raczej zostawić decyzję tobie, dopóki lepiej nie poznam środowiska.

– A gdyby mnie tu nie było i musiałabyś sama podjąć decyzję? – zapytał szorstko.

– Skierowałabym ją do miasta... oczywiście – przyznała niezbyt pewnie.

– Koniec pracy – oznajmił krótko, tonem nie znoszącym sprzeciwu, po czym wyjął jej papiery z rąk i obrócił się do wyjścia. – Do zobaczenia na herbatcie.

Nie chcąc, żeby pielęgniarka zauważyła jej płonące policzki, szybko przemknęła do wyjścia. Po drodze porwała swój płaszcz z haczyka na drzwiach i skierowała się do łącznika, który prowadził do kwatery personelu. W ambulatorium spędziła zaledwie kilka godzin, ale praca tak ją pochłonęła, że miała wrażenie, iż była tu całe tygodnie. Uświadomiła sobie to teraz, w chłodzie pasażu.

W saloniku panował spokój. Ktoś postawił na stole talerz kanapek i termos z herbatą. Przeraziłiwie zmęczona, Alanna usiadła i zamknęła oczy. Z pełną siłą powróciło zmieszanie i wątpliwości, co Owen Bentall naprawdę o niej myśli... i ona o nim.

Ostatni etap podróży do Chalmers Bay odbyli poprzedniego dnia, ale już wydawał się odległy, jakby to był sen. Pozwoliła myślom powędrować do tamtych

wydarzeń...

Zanim wylądowali w Yellowknife, przelecieli nad ogromną przestrzenią Wielkiego Jeziora Niewolniczego, w większej części zamrożonego. Owen Bentall pokazał jej i jezioro, i jeszcze kilka innych charakterystycznych miejsc. To olbrzymie terytorium było prawie nie zamieszkane, teraz jeszcze w dodatku pod śniegiem. Resztę dnia mieli spędzić w Yellowknife, zrobić zapasy i kupić dla niej kilka niezbędnych w Arktyce ubrań, przenocować i następnego dnia wyruszyć do Chalmers Bay samolotem czarterowym.

Alanna rozglądała się zaciekawiona. Wszystko tu było takie inne niż miejsca, w których dotąd bywała. Każde dzieło rąk ludzkich miało funkcjonalną formę. Pod nimi leżała równina, na której rosło zaledwie kilka drzewek. Dopiero wtedy zaczął do niej docierać ogrom tej krainy i odległość, jaką mieli jeszcze do przebycia. W Yellowknife czuło się atmosferę miasta przygranicznego, pośpiech i energię...

Trzaśnięcie drzwiami przywróciło ją do rzeczywistości.

– Hej! Przepraszam, że tak długo czekałaś.

Obiekt jej myśli sprzed kilku minut stał w drzwiach, opatulony w ogromną parkę, w jaką i ona zaopatrzyła się w Yellowknife. Wszedł i zrzucił ją z siebie.

– Poszedłem na krótki spacer, tylko wokół domu, po łyk świeżego powietrza – dodał, usprawiedliwiając się. – Nic jeszcze nie zjadłaś! Dobrze się czujesz, Alanno? Mam nadzieję, że zmiana czasu zbytnio ci nie dokucza, co?

Usiadł naprzeciw niej i ściągając ciężkie buty, przypatrywał się jej badawczo, z troską, która z pewnością była szczerą.

– Jestem tylko zmęczona... Poza tym wszystko w porządku.

– Nie wstawaj, przyniosę ci herbatę. I radziłbym, żebyś się wcześniej położyła. Jeśli cię za bardzo poganiam, musisz mi uświadamić, że zachowuję się jak gbur i drań. – Wyciągnął do niej rękę z parującym kubkiem. – Cukier?

– Poproszę.

Jeśli był świadom silnych prądów, które między nimi przepływały, to bardzo dobrze to ukrywał. W pierwszym odruchu miała zamiar spytać go wprost, czy w tym krótkim czasie, który spędzili razem, zmienił zdanie na temat mieszkania z kobietą, ale nie mogła wymyślić żadnego zręcznego zdania na początek.

– Mam skłonności do poganiania siebie i innych, bo tyle tu jest do zrobienia – tłumaczył się. – Powiedz, co myślisz o dzisiejszym dniu? Kanapkę?

– Dzięki. Cóż... był całkiem dobry. Tak jak przypuszczałam, było dużo infekcji dróg oddechowych u dzieci. Zastanawiałam się, czy macie tu problem gruźlicy.

– Tak... niestety, mamy nawet duży wzrost zachorowań na typ wywołany

prątkiem lekoopornym. Musimy starać się wykrywać nowe przypadki wcześniej. Rutynowo prześwietlać klatkę piersiową i tak dalej.

– Rozumiem...

Rozmawiali długo przy herbacie, potem przy kolacji, ale ograniczali się do tematów ściśle zawodowych.

W nocy, leżąc w ciepłym łóżku, nasłuchiwała wiatru, który niemiłosiernie szarpał budynkiem, i jeszcze raz przebiegała w myślach wydarzenia poprzedniego dnia.

Gdy się obudzili w Yellowknife, czekał już na nich czerwono-biały twin otter, którym mieli lecieć do Chalmers Bay. Były tam też jeszcze mniejsze samoloty, wyposażone w płozy zamiast kółek. Ten widok przypominał, że lecą w okolice, gdzie króluje zima, gdzie zimą temperatura nie wzrośnie powyżej zera i osiągnie swoje maksimum, to znaczy jakieś dziewięć stopni, w środku lata. Pilot w niebieskim kombinezonie lotniczym czekał przy samolocie.

– Cześć! – powitał ich. – Wy lecicie do Chalmers Bay?

– Hej – odpowiedział Owen Bentall. – Tak, to my.

– Dobra, zostawcie bagaże tutaj. Za chwilę je załaduję – skwitował krótko.

Alanna poczuła, że ściska ją w żołądku ze zdenerwowania.

Miała na sobie ciepłą kurtkę i spodnie, a oprócz tego kupioną poprzedniego dnia grubą parkę z kapturem obramowanym wilczym futrem.

– Nigdy nie leciałam takim małym samolotem.

Uśmiechnęła się do Owena Bentalla z mocnym postanowieniem, że będzie się zachowywać przyjacielsko. W swoim grubym ubraniu sprawiał wrażenie bardzo wysokiego i potężnego, męskiego i pociągającego. Założę się, że wie o tym, pomyślała.

– Hałasuje, czasem nieźle podskakuje w powietrzu; lądowanie potrafi być nieprzyjemne, szczególnie awaryjne, jeśli nie ma pasa. – Zwrócił na nią . wnikliwe szare oczy, bez cienia uśmiechu, jakby szacując, czy ma szansę przeżyć lot. – Ale poza tym jest całkiem bezpieczny, nie ma się czego obawiać.

Gdy cedził te słowa, w jego głosie dostrzegła cień kpiny. Choć towarzyszyła im błada namiastka uśmiechu, Alanna odniosła mgliste wrażenie, że Bentall ma zamiar trzymać ją, jeśli można się tak wyrazić, na odległość. W porządku, nie będzie miała nic przeciw temu...

– Jasne – powiedziała, nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo się w gruncie rzeczy denerwuje.

– To będzie dla pani dobra próba – ciągnął. – Kiedy lecimy w teren lub z

transportem sanitarnym, to najczęściej właśnie takim samolotem albo cesseną... to lekki samolot jednosilnikowy.

– Tak, rozumiem – odparła, nie zadając sobie trudu, by go poinformować, że już to wszystko wie, że zanim przyjęła tę pracę, dokładnie przestudiowała informacje, które jej przysłano do Anglii, była więc świadoma, w co się pakuje... przynajmniej teoretycznie.

Samolot hałasował jeszcze bardziej, niż się spodziewała. Uniemożliwiał wszelką rozmowę. Zresztą pasażerowie siedzieli jedno za drugim, Owen tuż przed nią. Bliskość jego barczystych pleców działała na nią mimo wszystko uspokajająco.

Z okna miała cudowny widok. Pod nimi jak gigantyczna kolorowa układanka rozciągały się pustkowia i jeziora najrozmaitszych kształtów i wielkości, pokryte połyskującą w blasku słońca krą. Widziała kępy świerków, częściowo zamrożone rzeki, brunatne plamy roślinności wynurzającej się spod topniejącego śniegu. Wszelkie oznaki ludzkiego życia znikły z pola widzenia. Pomiędzy Yellowknife a Chalmers Bay nie było szos ani linii kolejowych, ani też żadnych ludzi, prócz nielicznego personelu stacji meteorologicznych, utrzymującego łączność radiową ze środkami komunikacji lotniczej. Po tej podróży, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, samolot nagle opadł i wylądował na takiej stacji, tuż nad jeziorem.

Zesztywniali, zmarznięci pasażerowie, wysiadając, niezdarnie pokonywali metalowe schodki. Dwóch miało tu zostać; przy pomocy pilota zaczęli rozładowywać swój bagaż.

– Postój około pół godziny – zawołał pilot do pozostałych. – Rozprostujcie nogi, skorzystajcie z toalety, posilcie się; w kuchni coś się dla nas znajdzie.

Różnica temperatur pomiędzy tym miejscem a Yellowknife rzucała się w oczy.

– W tej parce czuję się jak zombie... i te ciężkie buciory – zaśmiała się Alanna, stając przy boku Owena.

W żadnym razie nie przyznałaby mu się, że czuje się też trochę nie na miejscu jako jedyna kobieta tutaj, gdzie diabeł mówi dobranoc, w tym rezerwacie dla mężczyzn.

Jej spostrzeżenie potwierdził mężczyzna, który podawał jedzenie. Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

– Nie mamy tu zbyt często do czynienia z kobietami – powiedział. – Tylko czasem, kiedy przejeżdża tędy Bonnie Mae.

Alanna odpowiedziała uśmiechem. Przyjęła od Owena kubek gorącej czekolady. Jego zachowanie wobec niej oscyloowało między opiekuńczością a



powściągliwością.

– Dziękuję. Tego mi było trzeba. Kto to jest Bonnie Mae?

– Pielęgniarka z Chalmers... wspaniała dziewczyna. Jest już tam około trzech lat z krótkimi przerwami. Przyjęła się jak miejscowa. Ale ona pochodzi z Edmonton. Tam też miewają paskudne zimy... mnóstwo śniegu.

Sądząc po błysku w jego oczach i ciepłej nucie w głosie, najwyraźniej bardzo cenił tę Bonnie Mae. Alanna wyobraziła sobie uwodzicielską blondynę o okrągłych kształtach, błękitnych oczach dziecka, pełnych, lekko nadąsanych ustach, bardzo zakochaną w przystojnym doktorze Bentallu...

– Kiedyś w Chalmers był tylko punkt pielęgniarski.

– Zakłócił jej wizję Owen. – Zanim zaczęto wydobywać ropę na Morzu Beauforta. Bonnie Mae prowadziła go w pojedynkę, radziła sobie absolutnie ze wszystkim, sama podejmowała decyzje. Fantastyczna dziewczyna i świetna pielęgniarka.

Alanna ugryzła kanapkę. Wizja powróciła. Bonnie Mae miała teraz nie tylko ładną figurę i rysy, ale także kuszące ruchy, idealną cerę, długie rzęsy, które trzepotały z ożywieniem, gdy spoglądała na doktora Bentalla. Może to dlatego nie palił się, żeby mieć tam drugą kobietę...

– Może jeszcze kanapkę? – Przyglądał się jej badawczo. – Coś panią rozbawiło?

– Oo... dziękuję... tak. – Wzięła kanapkę. – To znaczy nie... – urwała zmieszana, czując płomień na policzkach. – Strasznie gorąco w tej parce.

– Ładnie pani z rumieńcem – rzekł niespodziewanie. – Ciekaw jestem, o czym pani myślała. – Wciąż nie spuszczał z niej oka.

– Właściwie o niczym...

Wybawił ją pilot, który wszedł do pokoju, zaciągając suwak lotniczego kombinezonu.

– Gotowe! – zawołał. – Ruszamy!

Pozostali pasażerowie znów stłoczyli się w samolocie. Następny przystanek miał być powyżej sześćdziesiątego stopnia szerokości geograficznej, poza kołem polarnym.

Dużo później Alanna uprzytomniła sobie, że ktoś potrząsa ją za ramię. Głowa opadła jej na bok i przytuliła się do ściany samolotu.

– Pobudka! – Owen Bentall siedział na brzegu jej fotela. – Dobrze się spało?

– Tak. Och... Jestem zupełnie zeszywniała. – Przeciągnęła się, na ile się dało w tej ciasnocie. – Gdzie jesteśmy?

– Prawie w Chalmers. Zaraz będziemy lądować.

– Jak tu jasno! – wykrzyknęła, wyrzawszy przez okno na zaśnieżoną, nieprzebytą tundrę i niebo rozpostarte jak błękitna kopuła nad ich głowami.

– Tak, teraz dzień trwa tu praktycznie osiemnaście godzin... po dwudziestoczworgodzinnej zimowej nocy.

– Niesamowite!

W polu widzenia pojawiły się zabudowania Chalmers Bay, parterowe domki połączone drutami rozpiętymi na słupach. Alanna dostrzegła maleńki drewniany kościółek. Ciekawa była, który z tych domków jest placówką medyczną. A więc tu, w tej dziczy, będzie jej dom przez najbliższe sześć miesięcy. Znajdowała pewną pociechę w myśli, że przed nią był tutaj Tim.

Pilot odwrócił się do nich przez ramię.

– Lądujemy! Proszę zapiąć pasy i zabezpieczyć bagaż!

Potem usłyszeli, jak rozmawia przez radio z wieżą kontrolną i samolot zaczął kołować, zniżając się coraz bardziej nad wioską.

Alanna wiedziała z map, że Chalmers Bay leży nad kanałem otwartej wody, który na zachód płynie do Morza Beauforta i dalej do Oceanu Spokojnego. Na wschód i południe opływa liczne zamrożone nie zamieszkałe wyspy i w końcu wpada do Atlantyku. Z samolotu widać było skutą lodem zatokę. W wodnym korytarzu stał duży statek, zapewne lodolamacz. Wokół niego pływały bryły lodu.

Wylądowali szybko. Alanna poczuła przyływ podziwu dla małego pilota, który na pewno codziennie stawiał czoło niewyobrażalnym trudnościom.

Bagaż wylądowano na zamrożony śnieg. Powietrze było przejrzyste, suche i bardzo zimne. Słońce odbijało się od śniegu, rzucając oślepiający blask. Alanna grzebała w torebce w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Wokół nie było zbyt wielu ludzi. Obok budynku stało troje dzieci, które najwyraźniej przyszły popatrzeć na samolot. Byli to mali Eskimosi lub Inuici, jak woleli być nazywani rdzenni mieszkańcy tej krainy. W swoich kurtkach z kapturami malcy wyglądali zachwycająco.

– Dzień dobry, panie doktorze! Miło pana znów widzieć. Nie spodziewał się pan wrócić tak szybko, co? – Młody tubylec podszedł do nich z nieśmiałym uśmiechem.

– Witaj, Skip. Ja też się cieszę, że cię widzę, choć przyznam, iż wolałbym być teraz na Barbados. Nie bierz tego do siebie – zaśmiał się ponuro Owen Bentall i uścisnął dłoń młodzieńca. – To jest doktor Alanna Hargrove. Alanno, to jest Skip, czyli Skipper, czyli coś innego zupełnie niewymawialnego, z którego to powodu

mówimy na niego Skip.

– Dzień dobry... miło mi.

– Skip pracuje w naszej stacji – wyjaśnił Owen. – Jest instrumentariuszem, technikiem rentgenowskim i ma jeszcze masę innych pożytecznych zawodów.

Skip zareagował na tę charakterystykę łagodnym uśmiechem.

– Samochód czeka, doktorze.

We trójkę załadowali swoje torby i inne bagaże, w tym skrzynki świeżych owoców i jarzyn, zakupione przez nich w Yellowknife, na samochód, który okazał się rozklekotaną półciężarówką na ogromnych oponach przeciwsnieżnych. Innego rodzaju pojazdów, oprócz wszechobecnych nartosań zaopatrzonych w silniki, raczej się tu nie spotykało. Byłyby bezużyteczne, jako że poza osadą nie było dróg.

Stacja medyczna znajdowała się na drugim końcu wioski, na skraju tundry. Nie było tam drzew. Drzewa nie przetrzymałyby takich temperatur, jakie panowały w tych rejonach przez większość roku. Rosły tu tylko mchy, porosty i arktyczne kwiaty, które kwitły i wydawały nasiona w czasie krótkiego lata, zanim na ziemię znów spadnie ciemność i mróz.

Budynek wyglądał tak, jakby był złożony z kilku dużych przyczep kempingowych, połączonych zadaszonymi łącznikami. Alanna domyśliła się, że ta konstrukcja pozwala łatwo przemieszczać się między poszczególnymi częściami w czasie złej pogody.

– Jeśli chcecie wpaść do kliniki i przywitać się z Bonnie Mae, to ja zaniosę bagaże do mieszkania, doktorze – zaofiarował się Skip. – Ona już nie może się doczekać doktor Hargrove. To będzie dla niej frajda mieć tu dla odmiany lekarkę. A potem prosimy na obiad. Podamy w mieszkaniu, jak tylko będziecie gotowi.

– Dzięki, Skip. – Uśmiech na chwilę złagodził zmęczenie na przystojnej twarzy Owena Bentalla. – A ja nie mogę się doczekać, żeby wziąć Bonnie Mae w ramiona.

Alanna poczuła przypływ rozdrażnienia, które walczyło o lepsze z wszechogarniającym znużeniem. I czemuż to kolega był tak bardzo przeciwny pracy z kobietą, skoro przecież pracuje tu już jedna kobieta, którą najwyraźniej bardzo lubi? Może właśnie dlatego...

Weszli do jednego z budyneczków, opatrzonego szyldem „Klinika”. Wewnątrz było schludnie, porządnie i pachniało antyseptykiem. Po jednej stronie drzwi była mała poczekalnia, a w kilku małych pomieszczeniach naprzeciwko znajdowały się gabinety i podręczny magazyn. Owen poprowadził Alannę krótkim korytarzem.

– Owen Bentall! – Za ich plecami rozległ się dźwięk, który trudno byłoby określić inaczej niż skrzek. – Ty stary skurczybyku!

Owen obrócił się w mgnieniu oka, Alanna trochę wolniej.

Bonnie Mae była monstrualnie gruba. Stała przed nimi jak chodząca reklama dobrego jedzenia. Wizja błękitnookiej blond piękności prysła. Pielęgniarka miała na sobie gigantycznych rozmiarów blad różowy mundur, którego spodnie ciasno opinały jej masywne uda. Zza kołnierzyka górnej części tego stroju wylaniały się walczki tłuszczu. Ładną, pulchną, dziecinną twarz otaczała aureola orzechowych włosów. Oczy miała o ton ciemniejsze, a w policzkach dołeczki. Na szyi prócz słuchawek nosiła złoty łańcuch z wiszącym na nim pierścieniem z diamentem.

– Niechże cię uściskam, stary draniu!

Z tymi słowami Bonnie Mae zarzuciła Owenowi ręce na szyję i mocno uścisnęła. A on ku zdziwieniu Alanny nie tylko nie miał nic przeciwko temu, ale odpowiedział uściskiem.

– Tylko nie „stary”, Bonnie Mae – zaśmiał się.

– A to jest doktor Hargrove. – Bonnie Mae przeniosła wzrok na Alannę, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu. – Jakże się cieszę! Nie ma pani pojęcia, jak na to czekałam... żeby mieć tu jakąś kobietę. Tak długo już jestem w mniejszości.

– Dzień dobry. Ja też się cieszę i postaram się nie zawieść pani oczekiwań.

– Ten akcent! Co za uroczy akcent! Zupełnie jak u tego miłutkiego doktora Cooke'a. Szkoda, że tak krótko z nim pracowałam, ale byłam na urlopie. Będziemy się na pewno świetnie zgadzać. Możemy sobie mówić po imieniu?

– Tak, bardzo proszę.

– Wspaniale! Tego tutaj doktora Bentalla nazywam doktorkiem, ale przez duże D, oczywiście. Jesteś jeszcze ładniejsza, niż sobie wyobrażałam... Rude włosy! Cudowne piwne oczy! Radzę ci uważać! – Puściła oko do Owena Bentalla. – W jednym mieszkaniu z tą uroczą dziewczyną możesz ulec pokusie! – Zaśmiała się ze swojego żartu. Alanna poczuła, że się czerwieni. Ta pielęgniarka stanowczo posunęła się za daleko.

– Bonnie Mae, Alanna się rumieni.

– Och, nie przejmuj się mną! Tu trzeba być trochę zwariowanym... Dzięki temu człowiek nie zwariuje naprawdę, rozumiesz. A ja jestem najbardziej zwariowana ze wszystkich. Ale na pewno jesteście zmęczeni i głodni. Zwiedzanie zostawimy na jutro. Obiad już czeka. Kucharka rzuciła steki na ruszt, jak tylko usłyszała, że samolot ląduje. Do jutra, Alanno, najedz się i śpij dobrze. I nie pozwól temu tutaj się terroryzować... ma takie skłonności.

– Zauważyłam – odważyła się powiedzieć Alanna, nie patrząc na Owena.

– Widzę, że już się na nim poznałaś! Ale najczęściej fajny z niego facet. – Spojrzała na zegarek. – Muszę was przeprosić; mam jeszcze pacjentów. Do zobaczenia.

– Cała Bonnie Mae – powiedział Owen, prowadząc Alannę przez łącznik i dwuskrzydłowe drzwi do ich mieszkania.

– Zawsze jest taka pełna entuzjazmu?

– Przeważnie. Jako pielęgniarka jest świetna, spokojna i dobrze zorganizowana. To najważniejsze... A jej humor trzyma nas przy życiu.

Mieszkanie było lepsze, niż oczekiwała po opisie Owena. Ciasne, ale funkcjonalne, z domowymi akcentami, zapewne pamiątkami po poprzednich lokatorach. Alanna przyglądała się kolorowym obrazkom na ścianach małego saloniku i pocztówkom przypiętym do korkowej tablicy. Ciekawe, czy coś z tego zostawił Tim.

Obok była mała kuchnia wyposażona nawet w kuchenkę mikrofalową. Przez następne otwarte drzwi zobaczyła porządnie ustawiony swój bagaż. A więc to jest jej sypialnia. Ku swojemu zaskoczeniu i uldze stwierdziła, że ma własną łazienkę. Była też mała pralnia z pralką automatyczną i suszarką. Amerykanin może być setki mil od tak zwanej cywilizacji, ale musi mieć ze sobą swoje gadzety.

Wróciła do saloniku całkiem zadowolona ze wszystkiego, co zobaczyła, nawet z zamka w swoich drzwiach. W części wspólnej był radiotelefon, a w sypialni interkom.

– No i co, nie mówiłem? – Owen dołączył do niej. – Miejsca tyle, co kot napłakał.

– Ja nie zamierzam płakać. Dla mnie wystarczy. Nie pochodzę z bogatego domu. Mieszkałam już w bardzo różnych miejscach. Jestem przyzwyczajona do ciężkich warunków.

– Świetnie. Te doświadczenia bez wątpienia przydadzą się tu pani. Przepraszam, wezmę teraz prysznic. – Jego dotychczasowy dobry humor ustąpił miejsca oficjalności. – Obiad będzie za dziesięć minut. W przyszłości możemy zamawiać w kuchni z wyprzedzeniem albo gotować sami.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się z kategorycznym głośnym trzaskiem. Zamyślona poszła do swojego pokoju z uczuciem niewymownej ulgi. Teraz wierzyła, że jednak wszystko ułoży się dobrze.

Gorący relaksujący prysznic wydał jej się prawdziwym luksusem. Pomyślała o Timie, o tym, jak jemu tu było rok wcześniej; źle, coraz gorzej, z takim partnerem jak doktor Clinton Debray, człowiek, który zdaje się nigdzie i do nikogo nie

pasował. Mimo podskórnej wrogości emanującej z Owena Bentalla wiedziała, że trafiła lepiej niż Tim. Poza tym była ostrzeżona. Ostrzeżony, znaczy uzbrojony.

W swobodnym stroju, na który składały się jaskrawe legginsy i gruba bluza pod kolor, weszła do saloniku, gdzie jej kolega nakrywał już do stołu.

– Co mogę zrobić? – spytała ochoczo.

– Może pani wyjąć jedzenie z kuchenki... tradycyjne kanadyjskie danie: stek z rusztu, pieczone kartofle i kukurydza. – Obrzucił ją pełnym uznania spojrzeniem. Sam też był ubrany swobodnie, w sportową koszulę i dżinsy.

Alanna postawiła jedzenie na stole.

– Pachnie cudownie. Dopiero teraz czuję, jaka jestem wygłodzona. Zapewne to zimno tak wzmaga apetyt.

– Owszem. Stąd rozmiary Bonnie Mae. Po części też nuda. W zimie nie ma tu co robić, tylko jeść i oglądać telewizję. Dzięki Bogu za satelitę.

Jego ton był znaczący, a spojrzenie długie i uważne. Wiedziała, o czym myśli... że mężczyzna i kobieta skazani na tak bliskie obcowanie wkrótce znajdą sobie na, długie zimowe wieczory całkiem inne zajęcie. Nagle poczuła napięcie.

– Napije się pani czerwonego wina? – spytał, nie spuszczać z niej oka. – Przywiozłem kilka butelek.

– Chętnie.

– Świetnie. – Wprawnym ruchem otworzył wino. – Proszę usiąść i jeść. Niech pani tylko zostawi trochę miejsca na szarlotkę z bitą śmietaną.

Stek był doskonały. Alanna jedząc rozglądała się po pokoju. Zauważyła wideo i stos kaset, książki na półce, kompakt i radio. Umeblowanie było raczej podstawowe, ale wygodne. Wyrzała przez okno.

– Och, śnieg pada!

– Rzeczywiście. Ale to nie potrwa długo. Teraz stopniowo będzie już coraz cieplej. Oczywiście pogoda potrafi się tu zmieniać bardzo szybko o każdej porze roku. Dlatego zawsze trzeba być przygotowanym, nigdy nie wychodzić bez ciepłego ubrania. No i bez strzelby.

– Strzelby?

– Niedźwiedzie polarne przychodzą do wioski i próbują się dostać do śmietników. Utrapienie... ale niebezpieczne. Nosimy strzelby głównie po to, żeby je odstraszać, nie żeby je zabijać. Ma pani oczy jak spodki. Niech pani się tak nie martwi. Mamy tu dwie strzelby. Może jutro dam pani kilka lekcji strzelania. Czy może pani już umie?

Ton jego głosu świadczył, że absolutnie nie spodziewa się odpowiedzi

twierdzącej.

– Prawdę mówiąc, rzeczywiście umiem – odparła, patrząc mu w oczy wyzywająco, rozgrzana winem. – Mój kuzyn jest świetnym strzelcem. Nauczył mnie.

– Coś podobnego! To może pani da mi kilka lekcji, żebym poprawił celność. Ciekaw jestem, czego jeszcze mogłaby mnie pani nauczyć, doktor Hargrove? – Jego leniwy uśmiech zmiękczyłby serce najbardziej zawziętej przeciwniczki mężczyzn, a ona do nich nie należała.

– Przypuszczam, że niejednego. Szarlotki? I może przy niej porozmawiamy o pracy.

– Chętnie. Ja zrobię kawę. No dobrze... od czego by tu zacząć? Jutro rano oprowadzę panią po naszej placówce. Recepcję i poczekalnię już pani widziała, tam też są gabinety, w których przyjmujemy pacjentów ambulatoryjnych. Przez jeden z łączników idzie się do bloku operacyjnego. Wyposażenie elementarne, ale wystarcza. We dwójkę możemy sobie poradzić z ostrymi przypadkami, zapaleniem wyrostka i tak dalej.

– A ciężkie urazy? Krew do transfuzji?

– Udzielamy wstępnej pomocy, a potem transportujemy do Yellowknife. Rzecz jasna banku krwi tu nie ma. Mamy trochę krwi na wszelki wypadek i trochę mrożonego osocza. Umie pani oznaczać grupę i robić krzyżówkę?

– Tak.

– Dobrze – rzekł krótko. – To się przyda. Kawy?

– Proszę.

W toku dalszej rozmowy wyrobiła sobie pojęcie o tym, jakim pedantem i perfekcjonistą w pracy jest ten człowiek. Właściwie była zadowolona. W takich warunkach nie ma miejsca na pomyłki. Tim już się o tym przekonał. Nieszczęściem zapadłe dziury nie przyciągają na ogół najlepszych lekarzy. Ale intuicja jej mówiła, że Owen Bentall jest wyjątkiem.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym Owen wstał i przeciągnął się ociężale.

– Ponieważ jutro jest nasz pierwszy dzień, zaczniemy później niż zwykle, o wpół do dziesiątej. Proszę nie zmywać, rano ktoś tutaj przyjdzie i zajmie się tym.

Dziękuję za informacje... i za wino. Było mi bardzo miło. Mam nadzieję, że okaże się dla stacji lepszym nabytkiem, niż się pan spodziewał.

– W samolocie spytałaś mnie, czy możesz mówić do mnie po imieniu... Tak, możesz. A co do tego, czy będziesz dobrym nabytkiem, tylko ty możesz mi to udowodnić, prawda?

– Postaram się. Pytanie tylko, czy ty będziesz dobrym nabytkiem dla mnie.  
Dobranoc... Owen.

To było wczoraj. Teraz, gdy minął pierwszy dzień jej pracy w Chalmers Bay oraz następny wieczór i Alanna mościła się w ciepłym łóżku, знаła już odpowiedź na to pytanie. Owen Bentall będzie z pewnością dobrym nabytkiem jako kolega po fachu, jeśli tylko zdobędzie sobie jego zaufanie. A co do innych spraw, czas pokaże.



### Rozdział 3

– Tu właśnie przechowujemy stare historie choroby z ostatnich pięciu lat.

Owen Bentall zatrzymał dłoń na drzwiach wysokiej szafy w biurze ambulatorium. Dla Alanny był to drugi dzień w pracy. Zwiedzali stację jeszcze raz, oglądając wszystko bardziej szczegółowo.

A więc to tu, odnotowała w pamięci. Tu znajdzie dokumentację przypadku, który narobił jej bratu kłopotów, chyba że władze ją zabrały. Tim opowiedział jej wszystko, ale chciała jednak przeczytać historię choroby. Nie chcąc ujawniać, jak bardzo ją to zainteresowało, ruszyła dalej. Placówka miała, jak powiedział Owen, wyposażenie podstawowe, ale wystarczające, żeby poradzić sobie z tym, z czym według wszelkiego prawdopodobieństwa będą mieli do czynienia.

– Staramy się ograniczać do minimum zużycie sprzętu jednorazowego. Po pierwsze sprowadzanie go tutaj słono kosztuje, po drugie nie mamy problemu z wyrzucaniem.

– Bardzo mi się to podoba – oświadczyła.

Dobrze – odparł, rzucając jej przenikliwe spojrzenie. – Mnóstwo ludzi jak tylko się tu zjawia, zaczyna się pieklić, że nie ma jakiegoś drobnego urządzenia, do którego się przyzwyczaili. Ci, co nie potrafią się przystosować albo nie mają w sobie ducha wynalazczości, nie mają tu co robić.

W swoim zielonym dwuczęściowym stroju z bloku operacyjnego pod białym fartuchem wyglądał bardzo profesjonalnie. Opalenizna zaczęła już blednąć. Wydawał się taki potężny i męski, wręcz onieśmielający.

– Chodź, pokażę ci, gdzie jest defibrylator i leki do reanimacji. Później będziemy musieli dokładnie przejrzeć to i cały sprzęt anestezyjologiczny, żeby wiedzieć, gdzie czego szukać.

– Dziękuję.

Na razie wołała patrzeć, słuchać i zadawać tylko niezbędne pytania. Nie było w jej stylu demonstrować przesadną pewność siebie, nim jeszcze nie zaznajomiła się z placówką. Poza tym wydawało jej się, że on się spieszy.

W małej salce o kilku łózkach zastali Skipa, który właśnie przyjmował pacjenta, starego Inuita o twarzy tak poranej zmarszczkami, że wyglądała jak suszone jabłko. Coś takiego Alanna widziała dotąd tylko na fotografiach.

– Dzień dobry, Skip. To ten do amputacji palucha?

– Tak jest, doktorze. Kiedy mógłby pan to zrobić?

– W każdej chwili... jak tylko przygotujesz salę operacyjną. Ale operować będzie doktor Hargrove, w miejscowym znieczuleniu, żeby mógł od razu iść do domu. Prawda, Alanno?

Nie było to pytanie, na które mogłaby udzielić odpowiedzi innej niż twierdząca.

– Hmm... tak.

A więc chce ją rzucić na głęboką wodę i jeśli w jego ocenie się nie sprawdzi, postarać się jej pozbyć. W porządku, amputacja palucha to drobiazg. Jeśli tylko z takimi przypadkami będzie mieć do czynienia, to ta praca szybko stanie się nudna. Uśmiechnęła się ciepło do wszystkich i skierowała uwagę na pacjenta.

– Dzień dobry – przemówiła do niego.

– On mówi tylko miejscowym narzeczem – poinformował ją Owen – które w dodatku ma kilka odmian. – Być może chcąc jej zaimponować, wymienił kilka zdań z Inuitą.

– Jest pan niesamowity, doktorze Bentall! – oświadczyła z żartobliwym przerażeniem.

– Zanim uznasz, że jestem nie do zniesienia, muszę się przyznać, iż znam tylko kilka potocznych zwrotów i słów, które są najczęściej potrzebne do zbierania wywiadu. Skip jest naszym tłumaczem. Oczywiście większość Inuitów, tych młodych i w średnim wieku, mówi po angielsku. No, myślę, że na razie pokazałem ci dość. Co powiesz na kawę? Skip zawoła nas, gdy sala będzie gotowa. Dobrze, Skip?

– Oczywiście, doktorze.

– Chodź, pójdziemy zrobić sobie kawę. Chciałabyś się jeszcze czegoś dowiedzieć?

– Na razie nie. Mam dostateczny mętlik w głowie; muszę to najpierw uporządkować.

Zajął się parzeniem kawy.

– Po południu, kiedy wróci Bonnie Mae, pokażę ci osadę. Ubierz się ciepło, na nartosaniach jest piekielnie zimno.

Jakieś pół godziny później, zbadawszy pacjenta, pana Qitdlarssuaq, stanęła przed salą operacyjną, żeby założyć maskę i umyć się do zabiegu. Owen zajrzał niby to przypadkiem, w zielonym czepku chirurgicznym, niedbale wziął z półki maskę i zawiązał ją sobie na nosie i ustach. Oparł się o umywalkę.

– Nie będę się z tobą mył. Chcę tylko być w pobliżu na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy, bo Bonnie Mae jeszcze nie wróciła.

I czatować na każde moje potknięcie, pomyślała uśmiechając się do siebie,

ukryta pod maską i czepkiem.

– Czy jak na razie moja technika mycia się do zabiegu znajduje uznanie w twoich oczach? – spytała, obficie namydliwszy ręce roztworem antyseptyku.

– Mhm – odparł.

Obserwował ją bez przerwy. Starła się zapanować nad rosnącym zdenerwowaniem, zachować choćby pozory spokoju, podczas gdy jego obecność coraz bardziej dawała się jej we znaki. Nad umywalką był zegar. Co kilka sekund zerknęła na niego, by sprawdzić, czy myje się przepisowo długo. Nie chciała dać Owenowi nawet cienia okazji do krytyki. I skoro on wystawia ją na próbę, ona zrobi to samo. Jeśli będzie jej utrudniał życie, to ona ze swej strony wytknie mu wszystko, każdy najdrobniejszy błąd.

Z ociekającymi w powietrzu rękami weszła do sali operacyjnej. Skip czekał już z jałową serwetą i fartuchem. Umył się dużo wcześniej, przygotował narzędzia i serwety. Gdy osuszyła ręce, przytrzymał jej fartuch, by mogła wygodnie wsunąć ręce w rękawy.

– Ja zawiążę – odezwał się zza jej pleców przeciągły głos Owena. Przez cienką bawełnę stroju chirurgicznego poczuła dotyk jego palców, gdy zawiązywał z tyłu tasienki fartucha. Trwało to podejrzanie długo.

– Teraz przywiozę pacjenta. Będę noszowym, gońcem, czym chcesz, Alanno, ty tylko mów, czego potrzebujesz.

– Możesz być spokojny, powiem.

Zmusiła się do żartobliwego tonu. Operacji się nie bała, wiedziała, że potrafi to zrobić z zawiązanymi oczami. Obawiała się tylko Owena Bentalla. Skip przytrzymał jej jałowe rękawiczki. Wsunęła w nie dłonie, wyprostowała ręce i podniosła głowę. Była gotowa.

– Chce pani rzucić okiem na narzędzia, doktor Hargrove? Jakich nici pani użyje? Mamy spory wybór.

– Zaraz... niech zobaczą. – Alanna czuła coraz większą sympatię do Skipa za jego miły sposób bycia i spokojną, nie narzucającą się kompetencję.

Tymczasem Owen przywiózł pacjenta, którego dla ułatwienia nazywali „panem Q”, i ułożył go na Stole operacyjnym. Następnie narzucił serwetę na metalową ramę przytwierdzoną w poprzek stołu, aby zasłonić panu Q widok na pole operacyjne. Założył mu wenflon i podłączył kroplówkę. Do kroplówki dodał lek uspokajający, a w trakcie tych zabiegów przez cały czas łagodnie przemawiał do pacjenta w jego języku. Mętlik w głowie Alanny powiększyło jeszcze uczucie niechętnego podziwu.

Stary człowiek miał cukrzycę i ona to spowodowała martwicę dużego palca u stopy, częste powikłanie wywołane nieprawidłowym krążeniem. Ta operacja miała uchronić przed martwicą całą stopę, choć istniało pewne ryzyko, jako że u takich pacjentów rany na ogół źle się goją. Alanna była pełna podziwu dla spokojnego stoicyzmu starca. Wiedziała, że po wypisaniu trzeba będzie regularnie odwiedzać go w domu w celu zmiany opatrunku, tak długo aż rana całkowicie się zagoi.

– Alanno – zwrócił się do niej Owen. – Czego użyjesz do znieczulenia?

– Zwykłej dwuprocentowej xylocainy.

– Oczywiście. – Jego oczy śmiały się znad maski.

Zwodniczy uśmiech, to wiedziała. Teraz skoncentrowała się całkowicie na swoim zajęciu.

– Zaczynamy, panie Q.

Uśmiechnęła się do niego w nadziei, że zrozumie ten tak często używany w różnych okolicznościach zwrot.

Amputacja czarnego wskutek martwicy palca trwała zaledwie kilka minut. Krwawienie było niewielkie. Wkrótce, starannie i z wprawą, zakładała szwy. Owen stał w pobliżu i przyglądał się jej w milczeniu. Pan Q pochrapywał cichutko pod wpływem narkotyku. Skip pomógł jej założyć opatrunek na kikut i obandażować stopę.

Akurat gdy wywozili pana Q z sali operacyjnej, wróciła Bonnie Mae.

– Witam, witam! – powiedziała. – Jeśli chcecie się przejechać, to pojazd jest do waszej dyspozycji.

– Załatwimy to przed lunchem, Alanno? Co mamy na popołudnie, Bonnie Mae?

– No cóż, teraz, skoro jest was dwoje, a przez dwa tygodnie nie było nikogo... zapisałam wam mnóstwo pacjentów. Zdaje mi się, że mamy sporo rozpoczynających się zapaleń płuc i zwykłych przeziębień. Możecie brać każde po jednym, a ja będę kursować między wami.

– Pewnie, jakoś się pogodzimy. No to jak, Alanna, jedziemy?

– Tak – odparła, zdejmując maskę i fartuch. – Teraz będzie najlepsza pora. Zajrzę tylko do pana Q. Chcę mu dać antybiotyk.

– Słusznie. Spotkamy się za dwadzieścia minut na zewnątrz.

Po chwili szła do swojego pokoju, żeby przebrać się do wyjścia na dwór. Tęskniła za świeżym powietrzem. Myślała o Owenie i była mu wdzięczna, że oszczędził jej komentarzy na temat jej techniki operacyjnej. Nie spodziewała się tego po nim... przynajmniej nie tym razem.

Miał rację, na nartosaniach było piekielnie zimno. Ten specyficzny pojazd, o ściętym prostokątnym tyle i zaokrąglonym ku górze dziobie, był właściwie zupełnie nie osłonięty, jeśli nie liczyć przedniej szyby, która chroniła tylko przed wiatrem. Uchwyty były takie same jak w motocyklu, a z tyłu znajdowało się szerokie siedzenie, wystarczające dla dwóch osób. Wszystko to było umieszczone na dwóch masywnych płozach.

– Trzymaj się mnie. Obejmij mnie w talii, chwyć się paska. Będę jechał z początku bardzo wolno, dopóki się nie przyzwyczaisz.

Alanna skinęła głową. Mocno chwyciła pasek jego kombinezonu. Otaczało ich morze połyskliwej bieli. Tuż za stacją medyczną zaczynała się tundra, prawie płaska, z nielicznymi tylko łagodnymi wzniesieniami. Ku zachodowi rozciągała się wioska. Na jej najdalszym końcu widniała wieża kontrolna lądowiska. Na północy, niezbyt daleko, dostrzegła wody zatoki Coronation i zakotwiczony przy brzegu lodołamacz.

– Ruszamy! – Silnik zaryczał i Owen ostrożnie wyprowadził maszynę pomiędzy budynków, po czym nabrał prędkości, kierując się w zaśnieżoną przestrzeń. – Najpierw trochę sobie pojeździmy. Trzymaj się!

W mgnieniu oka znaleźli się poza wioską. Po chwili Alanna, chcąc osłonić się od wiatru, oparła otulony kapturem policzek o szerokie plecy swojego towarzysza. To było śmieszne uczucie, jakby się jeździło samochodzikami w wesołym miasteczku. Pisnęła, gdy podskoczyli na wyższym pagórku. Owen Bentall zwrócił ku niej roześmianą twarz. Jechali coraz szybciej, dwie małe ludzkie istoty uzależnione od maszyny. Byli już tak daleko, że powrót pieszo, gdyby nastąpiła taka konieczność, byłby nie lada wyprawą.

Nagle Owen zaczął zwalniać i po chwili zatrzymał pojazd.

– Masz ochotę przejść się kawałek?

– Tak, czemu nie?

Zeskoczyła z maszyny. W grubym ubraniu czuła się niezdarnie, miała wrażenie, że robi wszystko w zwolnionym tempie. Poszli po zamarzniętym śniegu w kierunku zatoki.

– Jak ci już wczoraj mówiłem, zazwyczaj nie wypuszczamy się bez strzelby z powodu niedźwiedzi, więc nie możemy iść daleko. One na ogół śmiertelnie boją się nartosań i omijają je dużym łukiem. Wiedzą, co to strzelba i polowanie. Mimo to nie ma sensu ryzykować. Później pokażę ci broń.

– Dużo jest wizyt domowych?

– Sporo. Generalna zasada jest taka, żeby zostawiać ludzi w domach, jeśli nie są

naprawdę ciężko chorzy. Oni tak wolą i wtedy rodziny mogą się nimi opiekować. W stacji jest nas za mało, żeby doglądać leżących pacjentów dłużej niż dzień czy dwa. Poza tym to dobre z punktu widzenia profilaktyki. Tworzą się więzi, dzięki którym ludzie chętnie do nas przychodzą i nie w ostatniej chwili.

– A jeśli trzeba zrobić zdjęcie?

Powoli oddalali się od pojazdu. Oprócz ich głosów w ciszy słychać było tylko skrzypienie śniegu pod nogami.

– Tym się zajmuje Skip. To jeden z jego licznych talentów. Skończył nawet kurs techników rentgenowskich. A jako że nie mamy tu takiego luksusu jak radiolog, jedno z nas musi zdjęcie zinterpretować.

Przystanęli, żeby przyjrzeć się krajobrazowi.

– Człowiek czuje się w tym otoczeniu taki nieważny – powiedziała Alanna. – Jakby... uświadamiał sobie, że w starciu istoty ludzkiej z przyrodą zawsze zwycięży przyroda. Wszystko jest tu takie... bezosobowe, takie bezlitosne.

– To prawda – odparł spokojnie. – Ale kiedy się tu trochę pomieszka, zwłaszcza jeśli się spędzi jakiś czas w tundrze albo na jeziorach, na łódce, stopniowo przestaje się odczuwać to wyobcowanie, człowiek zaczyna się jednoczyć z naturą. W końcu jesteśmy przecież jej częścią. To tylko tak zwana cywilizacja sprawiła, że stawiamy się ponad nią. Jest to zapewne przejaw wrodzonej arogancji naszego gatunku. Inuici i Indianie wiedzą takie rzeczy. U nas trochę to trwa.

– Myślisz, że zdążę? Czuję się tu jak przechodzień.

Odwrócił się i spojrzał na nią, mrużąc oczy przed słońcem, które nie miało w sobie ciepła. Na chwilę zapanowała między nimi dziwna, milcząca harmonia. Alanna uświadomiła sobie, że pragnie stać się częścią tej krainy, czuć spokój wewnętrzny, zespolenie z naturą, nawet gdyby miała już tu nigdy więcej nie przyjechać, a może zwłaszcza wtedy.

– To bardziej zależy od tego, w jakim stopniu człowiek potrafi się rozluźnić, że tak się wyrażę, popłynąć z prądem, niż od tego, ile ma czasu. Trzeba się nauczyć tutejszego świata, nauczyć się szacunku dla niego, poznać swoje miejsce, żeby w nim przetrwać. Czasami to się wie intuicyjnie. Jesteśmy słabi w porównaniu z niedźwiedziami, z orłami, karibu, wielorybami... i wszystkimi innymi zwierzętami i ptakami zamieszkującymi te strony, a nawet z tymi małymi kwiatuskami, które rosną tu, pod naszymi stopami.

– Są tu wieloryby? Nie wiedziałam.

– Tak, latem przepływają przez zatokę. Są stada białych wielorybów, niezwykle malowniczych, i stworzenia zwane narwałami, z bardzo długim, zakrzywionym

kłem, zupełnie jak z baśni... jednorożce morza.

Powoli wracali do swoich zmotoryzowanych snów.

– Kochasz *ten* kraj, prawda?

– Chyba tak – przyznał. – Choć jeśli mam być uczciwy, raczej jako pewną ideę niż jako rzeczywistość. To część mojego dziedzictwa, choć oczywiście nie w takim stopniu, jak Inuitów czy Indian. Mieszka tu wielu odważnych ludzi, ale jest też wiele prymitywizmu, ciemnoty. Nie żartowałem mówiąc, że wolałbym być teraz na Barbados. Ale gdy przyjeżdżam tu od czasu do czasu, przeżywam coś w rodzaju odrodzenia.

– Skąd pochodzisz?

– Moi rodzice mieszkają na wyspie Vancouver, na Pacyfiku. Ojciec jest tam naczelnym chirurgiem. Ma nadzieję, że kiedyś wrócę i przejmę po nim stanowisko. Moja matka jest psychologiem.

– Jakie to szacowne i bezpieczne.

I zamożne, i komfortowe, pomyślała. Jej własne dzieciństwo było całkiem inne. Matka nauczycielka, dwukrotnie owdowiała, zapracowywała się, żeby utrzymać i wykształcić dwoje dzieci. Pieniądzy zawsze brakowało.

– Tak, rzeczywiście – powiedział. – Wracajmy. Chcę ci pokazać sklep, posterunek policji i kilka innych miejsc, w tym domy niektórych naszych pacjentów. To nie potrwa długo.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

– Może chciałabyś kiedyś wybrać się na łódkę? Moglibyśmy zrobić sobie długi weekend, polecieć helikopterem albo samolotem na południe, gdzie jest trochę cieplej, gdzie rosną drzewa i jest więcej życia. Bonnie Mae zajmie się wszystkim.

– Tak... bardzo bym chciała.

– Zatem postanowione. Trzeba czasem zrobić sobie małe wakacje, bo inaczej człowiek by zwariował.

W drodze powrotnej do wioski towarzyszyła jej odrodzona wiara, że mimo wszystko być może on ją zaakceptuje. Trzeba przyznać, że na przykład teraz jest bardzo przystępny. Łatwo sobie wyobrazić, że kobieta może stracić dla niego głowę. Na oblodzonych ścieżkach między zabudowaniami wioski powiedziała sobie stanowczo, że jej znajomość z Owenem Bentalem ma charakter ściśle zawodowy i że nie może złożyć broni, dopóki nie zdobędzie jakichś informacji na temat skargi na jej brata. Poza tym w świecie Owena, świecie bogactwa, luksusów, ona jest obca.

Po lunchu praca na dwie ręce w ambulatorium nabrała tempa. Bonnie Mae zorganizowała wszystko bardzo sprawnie. Gdy któreś z nich spotkało się z czymś niecodziennym, pokazywało drugiemu i naradzali się.

Zbliżał się wieczór. Alanna już dwa razy zaglądała do poczekalni, by stwierdzić, że nie ma więcej pacjentów, gdy za trzecim razem zobaczyła, że siedzi w niej jakiś chłopiec.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się do niego. – Przyszedłeś po poradę, czy czekasz na kogoś?

– Przyszedłem po receptę na Breath-Pac, biorę to na astmę – wyjaśnił rzeczowo. – Ostatnie opakowanie mi się skończyło.

– Och... nie znam takiego leku. Co to jest?

Przysiadła obok niego. Pomyślała sobie, że w swoim obszernym ubraniu wydaje się bardzo szczupły i że rysy ma ostrzejsze, niż mają zazwyczaj Inuici, o pełnych, okrągłych twarzach, a jego ciepłe, brązowe oczy są niezwykle duże.

– To inhalator, który noszę ze sobą na wypadek duszności – objaśnił spokojnie, rzucając jej szybkie spojrzenie, a potem wbijając wzrok w podłogę, jakby nie mógł uwierzyć, że ona nie wie, co to jest Breath-Pac.

– Dobrze, powiedz mi, jak się nazywasz. Muszę wyjąć twoją kartę. I ile masz lat.

– Nazywam się Tommy Patychuk. Mam czternaście lat.

Alanna ukryła zdziwienie. Sądząc po wzroście, dałaby mu najwyżej dziesięć.

– Ja jestem doktor Hargrove. Zaraz wracam, Tommy. Zanim dam ci lekarstwo, muszę cię osłuchać, a może i doktor Bentall będzie chciał cię zbadać.

– Dobrze. Czy mogę tu przyprowadzić mojego psa, to znaczy suczkę? Zmarznie na dworze.

– No... tak, czemu nie. Czy jest duża?

– Nie, to szczeniak.

W mgnieniu oka rzucił się do drzwi i wraz z podmuchem śnieżnych płatków wpuścił do środka szczenię husky, dotychczas uwiązane do poręczy przy ostatnim schodku.

– Przeurocza! Jak futrzana kulka. Mogę ją pogłaskać?

– Tak – powiedział z dumą Tommy. – Jest bardzo łagodna. Tresuję ją.

Alanna uklękła i przytuliła szczenię, którego puszystą sierść pokrywał śnieg. Spomiędzy nastroszonych kudełków spojrzały na nią jasne oczy. Różowy język liznął jej policzek.

– Polubiła panią – stwierdził Tommy. – Nie do wszystkich tak się garnie.



– To pierwszy prawdziwy husky, z którym zawarłam bliższą znajomość, Tommy. Cieszę się, że dzięki tobie ją poznałam. A teraz zostaw ją tutaj i wejdź do gabinetu. Chcę cię zbadać i zważyć.

Pół godziny później Tommy Patychuk wyszedł ze swoim szczeniakiem i receptą w kieszeni.

– Najważniejsze jest, żeby w zimie uchronić go przed zapaleniem oskrzeli – zauważył Owen po jego odejściu. – W tym roku się udało. Trzeba na niego zwracać baczną uwagę. Ten inhalator jest tylko środkiem doraźnym. On to rozumie. Mam nadzieję, że wyrośnie z astmy. Żeby tylko przybrał trochę na wadze. Zawsze też dajemy mu do domu trochę witamin, za darmo, naturalnie. Rodzinie się nie przelewa.

– Miły chłopiec... tak samo jak jego piesek.

– Tak, fajny smyk. Jest częściowo Indianinem, a częściowo Inuitem. Jego matka pochodziła z plemienia Kri.

– Pochodziła?

– Zmarła, kiedy Tommy miał sześć lat... na zapalenie płuc.

~ Och... – Przygryzła wargi. – Może dlatego wydaje się taki smutny.

– Może. Tutaj to częsta sytuacja. Na szczęście ma dwie siostry i dużą rodzinę. Wszyscy go kochają.

W jego głosie pobrzmiwała kpiąca nuta, ale Alanna była przekonana, że fałszywa i że Owena tak samo jak ją wzrusza ten chłopiec, który ma czternaście lat, a wygląda na dziesięć.

– To wszystko – ogłosiła koniec pracy Bonnie Mae.

Alanna zasiadła w swoim małym pokoiku przy biurku, które jak podejrzewała, zostało przerobione ze starego kredensu. Uzupełniała notatki o pacjentach, skierowania, które trzeba było dołączyć do próbek krwi i moczu. Podobnie jak przez całe popołudnie była tak ożywiona i skupiona na swojej pracy, że nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu.

– Jak idzie? – W drzwiach stanął Owen i opierając się o framugę, wzrok utkwił w jej twarzy.

– Prawie skończyłam, uzupełniałam tylko notatki.

Uśmiechnęła się. Przez cały dzień miała świadomość, że on ją obserwuje, nawet wtedy, gdy byli w oddzielnych pomieszczeniach. Zdawał się odnotowywać, ile czasu zabiera jej badanie pacjenta, przeglądał niektóre karty, sprawdzając, jakie postawiła diagnozy, jakie leczenie zaordynowała.

– Tu są wszystkie karty. – Klepnęła stos, który piętrzył się na biurku. – Może

chciałbyś je przejrzeć?

– To zbędne. – W jego wzroku błysnęło zrozumienie, że jest świadoma tej dyskretnej kontroli, jaką nad nią roztoczył. – Zrobiłaś dziś kawał dobrej roboty.

– Dziękuję. A czy ja mogłabym przerzucić twoje? Lubię porównywać notatki.

– Jasne. – Jeśli był zdziwiony, to nie dał nie po sobie poznać. – Próbki ze skierowaniami wkładamy do specjalnego pudełka; Skip zawozi je potem na najbliższy samolot do Yellowknife. Jeśli jest coś naprawdę pilnego, to oczywiście najpierw sam oglądam. Liznałem trochę histopatologii i hematologii, chociaż nie łudzę się, że do mnie należy ostatnie słowo. Jeśli już wypisałaś skierowania, pokażę ci, gdzie stoi to pudełko.

– Tak. Dziękuję. – Podniosła się i wzięła wypełnione druki. – Marzę o herbacie!

– Na dzisiaj koniec. Tak wygląda tutaj typowy dzień w ambulatorium.

Jeszcze kwadrans przeglądała jego karty. Zwracała uwagę, jakie badania zalecał, jak często wyznaczał wizyty. Dokumentacja była prowadzona bardzo starannie. Widać było, że pisał to ktoś bardzo dokładny, kto strzegł się, by nie umknęła mu żadna istotna informacja.

Gdy dotarła do mieszkania, Owen był w małym saloniku. Oglądał wiadomości telewizyjne. Przed nim na małym stoliku leżała taca z kanapkami i wszystkie niezbędne akcesoria do herbaty.

– Już myślałem, że mnie opuściłaś – mruknął, gdy nieśmiało weszła do pokoju, jakby w obawie, że narusza jego prywatność. – Chodź, napij się herbaty, zanim ja wszystko pochłonę.

– Dzięki. Konam z głodu.

Napełniła swój talerz i skierowała wzrok na ekran, ale nie była w stanie rozróżnić poruszających się na nim kształtów. Mieszkanie pod jednym dachem z Owenem Bentalem może się okazać mniej proste, niż optymistycznie przypuszczała. W Birmingham mogłaby iść z przyjaciółmi do restauracji, do pubu, na film lub koncert. Tu nie było dokąd iść, najwyżej na spacer po tundrze, w dodatku ze strzelbą. Słyszała, że czasem w miejscowym kościele organizowane są potańcówki, jest też coś w rodzaju baru. Na ogół jednak trzeba się wykazać pomysłowością, znaleźć sobie jakieś zajęcie, rozrywkę na czas wolny.

– Jest taka jednostka chorobowa zwana chorobą polarników – odezwał się Owen, jakby czytając w jej myślach. – To całkiem naukowe określenie... dla zjawiska psychologicznego, które zachodzi między ludźmi skazanymi na przebywanie w jednym miejscu przez dłuższy czas, na przykład z powodu warunków atmosferycznych.

– Słyszałam o tym. Chcesz mi dać do zrozumienia, że to może nas dotyczyć?

Wyciągnął przed siebie długie nogi i splótł ręce za głową.

– Tak tylko mówię na wszelki wypadek. – Nie mogła się zorientować, czy żartuje. – Musimy dołożyć starań, żeby w naszym życiu nie zabrakło rekreacji i urozmaicenia.

Jakby na przekór tym słowom, w jego pokoju nagle zabuczał interkom; tak głośno, że Alanna aż podskoczyła. Byli na dyżurze praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę, choć zawsze można się trochę podzielić, na przykład w nocy wstawać na zmianę. W najgorszej sytuacji była Bonnie Mae, zawsze na pierwszej linii.

Owen skończył rozmowę i wrócił.

– Mamy ostry brzuch. Bonnie Mae przypuszcza, że to perforacja. Szykują salę operacyjną. Nie, ty zostań. – Położył jej na ramieniu ciepłą dłoń, zatrzymując ją na miejscu. – Dopij herbatę, najedz się, na wypadek gdybyśmy już nie mieli kolacji. Ja pójdę zobaczyć co i jak i zadzwonię do ciebie.

Włożył biały fartuch, który cały czas wisiał na oparciu krzesła, i już go nie było. Alanna została z kubkiem herbaty w ręce i z uczuciem, że jest niepotrzebna.

Może o to mu chodziło, może chciał jej pokazać, że trzyma wszystko w ręku. Celowo nie dał jej szansy samej postawić diagnozy. Pójdzie na kompromis. Skończy herbatę i sama uda się do kliniki, nie czekając na wezwanie.

Ale interkom odezwał się zaraz, gdy zjadłszy kilka kanapek, przebierała się w czyste ubranie chirurgiczne.

– Musimy zrobić laparotomię – rzekł Owen bez żadnych wstępów. – Wygląda to na sperforowany uchyłek. Potrafisz znieczulić?

– Tak. Zaraz tam będę.

Spiesząc łącznikiem do sali operacyjnej, myślała, że wszystko dzieje się o wiele za szybko. Owen nawet nie zdążył pokazać jej obiecanych strzelb.

## Rozdział 4

– Mam trzy jednostki krwi – zameldowała Bonnie Mae, gdy tylko Alanna pojawiła się w sali operacyjnej. Mimo swojej tuszy poruszała się zdumiewająco żwawo. – Wystarczy? Próbka czeka w pracowni. Doktor Bentall zakłada sondę do żołądka i kroplówkę.

– Dobrze. Nie wiadomo, czy krew będzie w ogóle potrzebna, ale na wszelki wypadek lepiej, żeby była.

– Jasne. Zaraz wszystko będzie gotowe.

Alanna włożyła płócienne ochraniacze na buty, maskę i czepek. Wpierw jednak pobiegła do małego laboratorium, gdzie czekała na nią próbka krwi do oznaczenia grupy pacjenta i na krzyżówkę. Skoro Bentall zajmował się teraz chorym, to było jej pierwszą powinnością. Pracowała szybko, a serce biło jej jak szalone. W myślach złażała się za to, że stara się wykazać szczególną sprawnością, żeby zaimponować Owenowi.

W sali operacyjnej sprawdziła aparaturę do znieczulenia ogólnego, leki i płyny dożylny. Pacjent z pewnością będzie odwodniony.

– Kiedy możemy zaczynać? – Nie usłyszała, że Owen Bentall stanął przy niej.

– Podłączyłem mu kroplówkę, roztwór Ringera. Odpowiada ci to?

– Tak. Ja jestem mniej więcej gotowa. Muszę oczywiście jeszcze zbadać pacjenta.

– Nie ma potrzeby. Ja już zbadałem go i wypytałem bardzo dokładnie. Czterdzieści pięć lat, nie pali, nie pije dużo, nie ma nadwagi; stan zdrowia dobry, oczywiście poza perforacją. Ciśnienie w porządku i tak dalej.

– Wszystko jedno. Nigdy nie znieczulam pacjenta, którego sama nie zbadałam, chyba że ma zagrażający życiu krwotok – odpowiedziała spokojnie.

Usłyszała, jak wciągnął ze świstem powietrze przez maskę, jakby nabierał tchu, żeby się sprzeciwić. Czowała, że ją sprawdza, więc bez słowa wzięła słuchawkę i wyszła. Pacjent, robotnik portowy rodem z południa, leżał bardzo blady, prawie szary. Najwyraźniej cierpiał, lecz znosił to ze stoickim spokojem.

– Dzień dobry, panie Racine – zaczęła. – Nazywam się Hargrove. Jestem lekarzem i będę pana znieczulać do operacji. Ale zanim zaczniemy, chcę tylko pana osłuchać. Miał pan kiedyś narkozę?

– Nie... nigdy. Nigdy w życiu nie byłem naprawdę chory, nie licząc jakiejś drobnej niestrawności od czasu do czasu. – Mówił z trudem, przez zaciśnięte zęby.

– Zbadam pana bardzo szybko i zaraz damy coś na ten ból.

Alanna osłuchiwała klatkę piersiową pacjenta pod baczny i wyraźnie niecierpliwym spojrzeniem Owena, który przyszedł za nią. Zadała parę pytań istotnych dla stanu jego układu krążenia i oddechowego. Robiła wszystko spokojnie, bez pośpiechu. W żadnym wypadku nie złamie swoich zasad. Potem pomogła Bonnie Mae wwieźć chorego do sali i ułożyć na stole operacyjnym.

– Jeśli jesteś gotowa, Bonnie Mae – rzekł Bentall – to idę się myć.

– Dobrze, ale nie spiesz się. Skip i ja musimy jeszcze przeliczyć gaziki i narzędzia.

Alanna uśmiechnęła się do siebie, nabierając leków do strzykawkę. Typowy chirurg: byle prędzej się myć i zacząć kroić. Ale Bonnie Mae nie była w gorącej wodzie kąpana, wiedziała, jak z nim postępować, choć jednocześnie miała świadomość, że to ostry przypadek i że muszą działać szybko. Alanna założyła pacjentowi maskę tlenową.

– Proszę chwilę poddychać tlenem, panie Racine.

– Dać im palec, a chwycą całą rękę – mrugnęła do niej pielęgniarka. – Ci chirurdzy! Trzeba ich krótko trzymać, bo inaczej by człowieka zdeptali.

Mówiła żartobliwym tonem, ale Skip i Alanna wiedzieli, że jest najzupełniej poważna.

Alanna wstrzyknęła do drenu dożylnego Pentothal i po kilku sekundach pacjent stracił świadomość.

– Podaj mi, proszę, laryngoskop i rurkę dotchawiczą numer siedem i pół. Od początku jestem pełna podziwu dla twoich umiejętności radzenia sobie z doktorem Bentallem. Musisz mi dać parę lekcji.

Bonnie Mae podała laryngoskop, potem rurkę.

– Nie możesz pozwolić, żeby ci, że tak powiem, wlaźł na głowę, bo cię zamęczy. Dobrze mówię, Skip?

– Dobrze! – Skip posłał im konspiracyjny uśmiech znad maski. – I ja miałem już do czynienia z niejednym niecierpliwym chirurgiem.

Alanna wprawnie zaintubowała chorego.

– Dziękuję, Bonnie. Mogłabyś włączyć monitor i założyć pacjentowi pulsoksymetr? Potem możesz wrócić do liczenia gazików.

– Oczywiście. No, Skip, bierzemy się do liczenia, bo inaczej doktor gotów poprzetrzącać nam karki.

Pół godziny później Owen Bentall wciąż jeszcze pochylony nad polem

operacyjnym szukał perforacji. Diagnoza się potwierdziła, ale szybko okazało się, że miejsc takich jest w jelicie więcej niż jedno i że nie będzie to tak prosty zabieg, jak sądzili.

– Muszę wykonać częściową kolektomię. Najpierw jednak muszę znaleźć wszystkie miejsca perforacji. Jak pacjent?

– Dobrze. Mam krew, nie będzie żadnych problemów.

W rzeczywistości czuła się odrobinę zdenerwowana i miała nadzieję, że nie dojdzie do większego krwawienia. Jeszcze nigdy nie prowadziła znieczulenia przy naprawę długim zabiegu. Wiedziała też, że potem będą musieli na zmianę z Owenem czuwać nad panem Racine przez całą noc.

Wreszcie operacja się skończyła. W jamie brzusznej pacjenta Owen umieścił dren podłączony do elektrycznej pompy ssącej, a pozostałą część rany operacyjnej zaszył. Alanna w milczeniu przyglądała się jego pracy. Owen był z pewnością bardzo dobrym chirurgiem, spokojnym i dokładnym. Dobrze wiedział, co ma robić, i robił to bez wahania.

W małej salce pooperacyjnej skupili się nad panem Racine'em, czekając, aż się obudzi po narkozie. Przez resztę nocy miał być podłączony do monitora, który wyświetlał zapis czynności serca i co pewien czas automatycznie mierzył ciśnienie, temperaturę ciała i stężenie tlenu we krwi.

– Czy mam wziąć pierwszą wartę? – zaoferowała się. – I tak nie chce mi się spać.

Owen był poważny i sprawiał wrażenie zmęczonego. Ich oczy się spotkały.

– Tak, nie musimy tu siedzieć oboje. Stan chorego jest dobry. W takim razie rano nie przychodź do pracy, odsypiaj. Ty, Bonnie Mae, zostań tu jeszcze jakąś godzinę i też pędź spać. Wszystko, co trzeba podać, antybiotyki, demerol na ból, jest w karcie. Posłuchajcie też perystaltyki.

Potem, ku zdumieniu Alanny, otoczył Bonnie Mae ramionami i mocno uściskał.

– Dzięki, Bonnie, byłaś jak zwykle nadzwyczajna.

Przecucie powiedziało jej, że za chwilę zrobi to samo i z nią. Usztywniła się i wstrzymała oddech, gdy przechodził na jej stronę łóżka.

– Tobie też dziękuję, Alanno, to było świetne znieczulenie.

Przyciągnął ją szybko do siebie i na kilka sekund przycisnął do twardej, muskularnej piersi. Przez płótno stroju chirurgicznego czuła ciepło jego ciała. Bezwiednie chwyciła go za ramiona, on zaś złożył pocałunek na jej skroni, nad maską, którą wciąż jeszcze miała na twarzy. Przez krótką, wyzwoloną spod samokontroli chwilę zapragnęła złożyć mu głowę na ramieniu, zapragnęła, żeby

objął ją naprawdę.

– Jeśli będziesz miała jakieś problemy, to dzwoń. Dobrze?

– Tak... dobrze, zadzwonię.

W ciągu tych kilku sekund wyczytała w jego oczach niewątpliwy żar pożądania zmieszany z czymś jeszcze... jakby pewnością, że on tu rządzi. Odruch przekory kazał jej dorzucić:

– Pan też nie jest najgorszy, doktorze Bentall!

Irytowało ją to przeświadczenie, że tylko on jest powołany do rozdawania błogosławieństw, choć jego nieoczekiwany gest, gdy stali nad łóżkiem chorego, wydawał się spontaniczny i dziwnie wzruszający. Patrząc na mizerną twarz Edouarda Racine'a, poczuła ucisk w gardle i szczypanie łez pod powiekami w przypływie znanego uczucia, które zawsze znajdowało wyraz w woli działania.

– Uroczym z pani strony, że pani mi to mówi, doktor Hargrove – mruknął Owen i puścił ją. – Jak pani wiadomo, wszyscy chirurdzy mają bardzo wysokie mniemanie o sobie, inaczej nie byliby w stanie operować, ale mimo wszystko to miło usłyszeć od kogoś innego, że się zrobiło dobrą robotę. Nieczęsto tu człowiek słyszy słowa zachęty.

A czy mój brat usłyszał je od ciebie, przemknęła jej przez głowę ostra myśl.

– Tak... no to dobranoc. Nie wahaj się dzwonić, gdyby cię coś zaniepokoiło.

Długimi krokami ruszył do drzwi i zniknął.

– Och, cieszę się, że mamy to już za sobą! – Bonnie Mae wyraziła ulgę, którą czuły obie. – Mam w krwiobiegu tyle adrenaliny, że starczyłoby dla sześciu osób na tydzień ciężkiej pracy.

Alanna roześmiała się, odprężona. Monitor szumiał, snując nic elektrokardiogramu. Sprawdziła włączenie dożylnego, aby się upewnić, że kroplówka nie idzie poza żyłę.

– Zrobię coś do picia i kanapkę. Kawa czy herbata?

– Proszę herbatę, bo później nie będę mogła zasnąć. Czy doktor Bentall zawsze ściska członków zespołu po operacji?

– Tylko kiedy uważa, że wyjątkowo dobrze nam poszło, albo jeśli czuje wielką ulgę. Czasem na niego gderamy, ale w sumie to naprawdę świetny gość. Jeden z najlepszych.

– Może rzeczywiście mu ulżyło, bo spodziewał się, że coś sknoć – zaryzykowała Alanna. – Nie chciał pracować z kobietą lekarzem, sam mi to powiedział.

Z twarzy pielęgniarki niczego nie dawało się wyczytać.

– Byłaś znakomita. Od razu się zresztą zorientowaliśmy, że będziesz dobrym nabytkiem. A jeśli on jest antyfeminista, to ma swoje powody. Kiedyś pracowała tu z nim jego narzeczona... dopust boży. Opowiem ci o tym w wolnej chwili. Cóż to była za dziumdzia!

– Narzeczona? Nie wiedziałam, że ma narzeczoną.

– Prawdopodobnie już nie ma... nic o niej nie wspomina. A z pewnością nie jest żonaty. To była prawdziwa malowana lala, kompletnie tutaj nie pasowała. Wydawało jej się, że ona będzie tylko spacerować w białym fartuchu, ze słuchawką na szyi, a kto inny zrobi jej robotę. Była tylko trzy tygodnie. Jezu! Na samo wspomnienie chce mi się rzygać!

Opuściła pokój, by po chwili wrócić z dwoma szklankami herbaty.

– To najlepsza herbata, jaką piłam od dawna. – Alanna uśmiechnęła się do Bonnie Mae. – A jak sobie poradzimy jutro? Przecież wszyscy musimy się trochę przespać.

– Jutro ambulatorium jest nieczynne, więc mamy szczęście. Drobnymi interwencjami zajmie się Skip. My troje będziemy tylko musieli się zmieniać przy panu Racinie, dopóki nie wydobrzeje na tyle, że będzie można go posłać do domu.

– Bonnie, jeśli masz dokumentację w porządku, to właściwie mogłabyś teraz iść spać. Pokaż mi tylko, gdzie co leży, i do rana sobie poradzę.

– Dobrze... A rano będę świeżutka i wypoczęta.

Nagle w sali pooperacyjnej zadzwonił telefon. Alanna poderwała głowę. W tej ciszy, którą mącił jedynie równy oddech pacjenta i delikatny szum monitora oraz od czasu do czasu daleki poświst wiatru za oknem, zdrzemnęła się na kilka sekund.

– Halo! – Oprzytomniała w jednej chwili.

– Jak leci, Alanna? – W głębokim głosie Owena pobrzmiwała jakby nuta współczucia.

– Jak dotąd wszystko w porządku. Pan Racine śpi, nie ma bólów. Stan dobry, dren odbiera płyn... głównie przejrzysty, odrobinę podbarwiony krwią. Regularnie odsysam treść żołądkową przez sondę.

Odetchnęła głęboko, zmuszając się do logicznego myślenia, żeby nie dać mu żadnego powodu do krytyki. W tej chwili ich główną troską było to, żeby za pomocą antybiotyków zapobiec zapaleniu otrzewnej.

– Jakie kroplówki mu dajesz?

Odpytał ją jeszcze z kilku punktów, po czym poinformował, że przychodzi ją zmienić. Zerknęła na zegarek. Była za kwadrans piąta... początek jej czwartego



dnia w Chalmers Bay. Czy naprawdę przyleciała w poniedziałek? Zdawało jej się, że jest tu już bardzo długo. Teraz, gdy wiedziała, iż pomoc nadchodzi, poczuła, że jest zupełnie wykończona.

– Kawa!

Owen wszedł cichutko, kiedy przeglądała historię choroby. Odwróciwszy się, zobaczyła go z kubkiem w ręku. Najwyraźniej dopiero co wyszedł spod prysznic. Mokre włosy spadały na jego pociągłą twarz. W przeciwieństwie do niej był świeży i wypoczęty.

– Mmm... cudowny zapach. Żebym tylko zdołała zasnąć po takiej porcji kofeiny. Dziękuję.

– Zrobiłem ci też solidne śniadanie, bo jestem pewien, że takiego potrzebujesz... bekon z grilla i naleśniki.

– Naleśniki! Na śniadanie!

Nagle onieśmielił ją ten niezwykle przystojny mężczyzna, który przyrządził dla niej cały posiłek.

– Właśnie. Jemy je z odrobiną masła i syropem klonowym. Są w kuchence.

– Jestem ci bardzo wdzięczna... naprawdę dziękuję. Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który by umiał usmażyć naleśniki.

Wziął od niej historię choroby i zaczął kartkować.

– Muszę się przyznać – uśmiechnął się – że zrobiłem je z proszku. Można go kupić w tutejszym sklepie.

– Naprawdę? – zaczęła się śmiać.

– Tak. Dodaje się tylko mleko. Słuchaj... – Od niechcienia objął ją ramieniem. – Jeśli nie masz mi już nic do przekazania, idź do łóżka i śpij cały dzień. Nie ma dziś wiele do roboty. Wezwę cię tylko w razie jakiegoś alarmu.

– Och... nie mogę. Wstanę po południu. W końcu przyjechałam tu pracować.

– Tak, ale nie zapracować się na śmierć. Przeszłaś, że tak powiem, chrzest ogniowy. Teraz śpij, wypocznij. Do zobaczenia przy herbacie albo przy kolacji, zgoda?

– W porządku – zgodziła się niechętnie – ale nie pozwól mi spać, jeśli będzie coś do zrobienia. – Wróciły do niej słowa, których użyła Bonnie Mae, mówiąc o jego narzeczonej. – Nie czułabym się dobrze.

– Wiem – powiedział łagodnie. – Nie martw się, obudzę cię, jeśli będziesz potrzebna. A co do weekendu, możesz wybrać, czy chcesz mieć wolny dzień w sobotę, czy w niedzielę. Zastanów się. A teraz idź" na naleśniki.

– Dzięki... Owen. – Szybko wyszła z pokoju.

Gorące naleśniki z syropem klonowym były przepyszne i sycące. W sypialni łóżko wyglądało tak zachęcająco, że mogłaby od razu rzucić się na nie i zasnąć. Ale zmusiła się, żeby wziąć prysznic i umyć włosy. Potem wsunęła się pod ciepłą kołdrę; zanim zapadła się w nieświadomość, zdążyła jeszcze poczuć jeden krótki spazm tęsknoty za domem.

Obudziło ją skrzypnięcie drzwi. Zamrugła powiekami i zobaczyła, że w pokoju ktoś jest. W przyćmionym świetle nie mogła rozpoznać sylwetki. Oszołomienie i senność natychmiast ustąpiły miejsca chwilowej panice, ale wtedy ten ktoś przemówił.

– To ja... Owen.

– Czy coś się stało? – Była jeszcze zdezorientowana.

– Nie, nic. Przepraszam, że cię obudziłem. – Usiadł na brzegu łóżka, jakby nagle poczuł zmęczenie. – Miałem tylko zamiar zostawić ci kartkę, żebyś wiedziała, co się ze mną dzieje.

Ależ on najwyraźniej uważa, że może w każdej chwili wchodzić do jej pokoju!

Usiadła, przez co jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. W nadziei, że nie okazuje zbyt jawnie, jak niepokojąco wpływa na nią jego bliskość, odchyliła się powoli i opadła na łokcie. Zarazem jednak uświadomiła sobie z pewnym skrepowaniem, że ta pozycja wybitnie eksponuje jej piersi, wyraźnie widoczne przez cienki materiał koszuli nocnej, i że w ten sposób wprowadzie odwraca jego uwagę od swojej twarzy, lecz kieruje ją na ciało. Gdy znów podniósł ku niej nagle pociemniałe oczy, nie mogła żywić żadnych wątpliwości co do ich wyrazu. To było zaproszenie.

Wcześniej, w nocy, czuła pragnienie, by ją przytulił, ukoił. Teraz zapragnęła tego, ale inaczej. Ucisk w gardle nie pozwolił jej wydać głosu, mogła tylko wpatrywać się w niego. I znów poczuła, że być może on ją w ten sposób sprawdza. Czyżby obiekcje, które wyraził, gdy się poznali, miały się okazać samospełniającym się proroctwem? Żaden z młodzieńców, z którymi w przeszłości dzieliła mieszkanie, nie zakłócił jej wewnętrznej równowagi tak jak on. Wobec nich była jak Śpiąca Królewna. Tymczasem Owen Bentall był bardzo dojrzały i bardzo męski.

– Chciałem ci zostawić wiadomość, że idę się przejść. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Wezmę strzelbę i pójdę na wschód... niedaleko. W klinice wszystko w porządku, nie musisz wstawać. Gdyby było coś do roboty, Bonnie Mae da ci znać, a gdybym i ja był potrzebny, Skip może po mnie pojechać. Dobrze?

– Tak – udało jej się wydobyć głos. – Jak tam pan Racine?

– W porządku, przytomny i rześki, opowiedział nawet parę dowcipów. Potrzymamy go na antybiotykach przynajmniej przez dziesięć dni.

– Hmm... może zanim pójdziesz, pokazałbyś mi tę strzelbę? Może i ja później się przejdę. – Każdy pretekst będzie dobry, byleby pozbyć się go z pokoju.

Gdy tylko wyszedł, zeskoczyła z łóżka, szybko włożyła szlafrok i kapcie i przeszła do saloniku, żeby nie dać mu powodu do ponownego wtargnięcia na jej terytorium. Przez okno sączyło się słońce. W powietrzu z wolna żeglowały płatki śniegu.

– Jakie to dziwne: jednocześnie śnieg i słońce. W Anglii gdy pada śnieg, jest przeważnie szaro i ponuro.

– Tak, to jedna z wielu rzeczy, do których będziesz musiała przywyknąć – odparł spokojnie, a ona odniosła wrażenie, że ma na myśli coś więcej niż pogodę i inne codzienne sprawy. – Masz tu swoją strzelbę. Tu się wkłada amunicję... zapasową weź sobie do kieszeni. Noś strzelbę zawsze przy sobie. Nie zostawiaj jej na nartosaniach ani w namiocie. Nigdy nie wiadomo, kiedy możesz spotkać niedźwiedzia. Niedźwiedzie polarne polują na ludzi, zabijają ich i zjadają. Trochę dalej na południe żyje grizzli. Taki miś, jeśli ma chęć, może zabić jednym machnięciem łapy.

Alanna zadrżała na myśl o niespodziewanym spotkaniu z niedźwiedziem.

– Będę pamiętać – powiedziała.

Obie strzelby wisiały w kredensie. Było tam też pudełko z amunicją. Klucz chowało się w kuchni.

Gdy Owen wreszcie wyszedł, zrobiła sobie lunch i zaczęła planować, co będzie robić przez resztę dnia. Mimo zapewnień Owena, że w klinice nie ma nic do roboty, pójdzie zobaczyć się z Bonnie Mae. Potem, jeśli rzeczywiście nic się nie będzie działo, weźmie drugą strzelbę i też się przespaceruje. Przyda jej się trochę ruchu.

## Rozdział 5

Szła na wschód, coraz dalej od wioski. Słońce iskrzyło się na świeżo spadłym śniegu, a wiatr z poświstem rozwiewał wilcze futro u jej kaptura. W grubej parce, równie grubych szeleszczących nylonem spodniach i ciężkich butach czuła się strasznie powolna. W prawej ręce trzymała strzelbę.

Była już dość daleko od Chalmers Bay. Odgłosy wioski były coraz słabsze – czasem dał się słyszeć pisk nartosań, czasem buczenie syreny okrętowej czy ryk silnika cessny, podrywającej się z pasa startowego. Choć wszystko, szczególnie ciężka strzelba w jej dłoni, wydawało się jej ciągle dziwne, w pewien sposób poczuła się przecież związana z tą ziemią. Ma tu coś do zrobienia; może być pożyteczna.

Szła w śpiewającym wietrze, jej buty skrzypiały na zamarzniętym śniegu i czuła, jak spływa na nią spokój, jakby znalazła się w wielkiej milczącej katedrze, gdzie wszystkie codzienne troski bladły w obliczu świata duchowego. Włożyła słoneczne okulary i omiotła wzrokiem horyzont, szukając Owena Bentalla. Musiała przyznać się sama przed sobą, że poszła tą drogą w nadziei, że go spotka. Ale nie było po nim śladu.

Szła już dwadzieścia minut. Co chwila oglądała się za siebie, żeby zobaczyć, jak daleko odeszła od wioski. Nie byłoby mądrze zapędzić się za daleko.

Wtem kilkaset metrów przed sobą zobaczyła ciemną sylwetkę i rozpoznała kombinezon Owena. Zdawało jej się, że Bentall klęczy, jakby szukał czegoś w śniegu. Niewyraźna obawa, jaką napawała ją samotność w otwartej tundrze, pierzchła na jego widok. Jakimkolwiek jest człowiekiem, wzbudza jednak zaufanie.

Nagle po swojej prawej stronie kącikiem oka zarejestrowała jakiś ruch. Powoli odwróciła głowę i targnęło nią przerażenie. Niedźwiedź polarny sunął szybko prosto na Owena. Trudno było powiedzieć dokładnie, jak szybko, ale odległość między nimi malała błyskawicznie. Owen zwrócony był twarzą do zatoki, a tyłem do zwierzęcia.

– Owen, niedźwiedź! Niedźwiedź!

Złożyła dłonie w trąbkę i wykrzyczała swoje ostrzeżenie najgłośniejszym, jak potrafiła, piskliwym ze strachu głosem. Wiatr, jakby kpiąc sobie z jej wysiłków, rozwał słabiotki dźwięk w powietrzu.

Nic z tego. Nie słyszy jej. Kaptur parki tłumi każdy dźwięk. Alanna ruszyła biegiem, potykając się w śniegu i krzycząc co chwila. Była już tak blisko, że

widziała, jak faluje gęste kremowe futro niedźwiedzia. Dość niezdarne, Zwierzę to miało w sobie swoisty wdzięk, gdy tak pewnie sunęło po skutej lodem ziemi, swoim terytorium, coraz to bliżej ofiary. Na nią zupełnie nie zwracało uwagi.

Nie mogąc złapać tchu, szlochając z przerażenia, Alanna przystanąła, ściągnęła rękawice i uklękła w śniegu. Gorączkowymi i niezręcznymi ruchami odbezpieczyła strzelbę, wycelowwała w niebo i pociągnęła za cyngiel. Huk wystrzału spełnił jej nadzieje; był bardzo głośny. Znów zerwała się na równe nogi, krzycząc i wymachując rękami, pokazując niedźwiedzia, który był, jak oceniała, mniej niż dwieście metrów od Owena.

Owen, wciąż klęcząc, odwrócił się w jej stronę przerażająco powoli. Widząc jej gestykulację, spojrzął za siebie. Alanna, zdyszana, z falującą piersią, patrzyła, jak bierze swoją strzelbę i wstaje. Niedźwiedź zwolnił, ale się nie zatrzymał. Pomyślała, że może skrócić w jej stronę i zaczęła grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu zapasowej amunicji. Wtedy Owen podniósł strzelbę i wypalił w powietrze. Tym razem potężne zwierzę bez wahania, nie wypadając z rytmu, skreśliło w kierunku wschodnim i z jeszcze większą prędkością zaczęło się od nich oddalać.

Zanim do niego dobiegła, dwukrotnie upadła. Gdy się wreszcie spotkali, jej spazmatyczny oddech był raczej łkaniem. On sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego.

– Nic ci nie jest? – spytał i podtrzymał ją, bo zachwiała się i byłaby upadła. – Siadaj tutaj... Złap oddech. O mały włos, prawda?

Usiadła na śniegu skulona, z pochyloną głową. Z trudem wciągała w płuca lodowate powietrze. Nigdy nie przeżyła czegoś takiego, jak ten bieg z przeszkodami, w grubym ubraniu, z obciążeniem w postaci rakiet śnieżnych i strzelby. Owen przysiadł obok niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Zdaje się, że jestem ci winien podziękowanie. Chyba ocaliłaś mi życie, a na pewno ocaliłaś mnie przed ciężkim poturbowaniem. Trudno przewidzieć, co taki niedźwiedź zrobi.

– Boże, tak się przeraziłam... zdawało mi się, że biegnie prosto na ciebie. Nie wiem, czy to nie było złudzenie, z daleka trudno powiedzieć...

– Rzeczywiście biegł na mnie. Dobrze, że miałaś dość przytomności umysłu, żeby wystrzelić.

Siedzieli tuż obok siebie, ich twarze niemal się stykały. Powoli otrząsali się z wrażenia.

– Popatrz na niego teraz! – wskazał gwałtownie zmniejszającą się plamkę coraz

bliżej horyzontu. – Będzie tak biegł kilometrami. Piekielnie się boją strzałów.

Odwrócił się do niej, a futro jego kaptura musnęło jej policzek. Niedbale odrzucił nakrycie głowy, odsłaniając zmierzwiłone włosy. Z bliska Alanna widziała bruzdy zmęczenia na jego twarzy, linię ust, niezbyt wydatnych, a zarazem zmysłowych. Tym razem nie odsunęła się.

– Byłaś bardzo dzielna – rzekł cicho.

Jego amerykański akcent sprawił, że zdanie to zabrzmiało jak kwestia z hollywoodzkiego filmu. Powiedziała mu to, żeby rozładować atmosferę.

– Gdybym był Johnem Wayne'em, następna scena musiałaby być czymś w tym rodzaju...

Powoli ujął jej głowę w swoje dłonie, wplótł palce we włosy, a ona w oczekiwaniu wstrzymała oddech. Wpatrywał się w nią chwilę, po czym pochylił się do jej ust. Pocałuj mnie, proszę... Te słowa zadźwięczały w jej głowie tak wyraźnie, jakby wypowiedziała je na głos, a jednocześnie zabrzmiały inne słowa – słowa ostrzeżenia.

Gdy ich wargi spotkały się, zamknęła oczy. Północne słońce muskało jej powieki, a wiatr rozwiewał włosy. Przyciągnął ją silniej. Jego usta były twarde i pewne, a przy tym czułe, jakby proszące o odpowiedź, której udzieliła bez wahania. Chciała, żeby to trwało wiecznie. Wtuliła się w jego ramiona, jakby chcąc się upewnić, że żyje. Mignęła jej myśl, co by to było, gdyby niedźwiedź go zabił i ona została z tym groźnym zwierzęciem sama.

Gdy oderwał usta od jej warg, ona wciąż się do niego tuliła, osłabła od dziwnej tęsknoty. Delikatnie popchnął ją na śnieg i pochylił się nad nią.

– To było niezłe naśladownictwo hollywoodzkiej bohaterki. – Jego wzrok rozjaśnił ciepły uśmiech. – Muszę cię uprzedzić, że oglądałem masę takich starych filmów, zwłaszcza westernów, w których mężczyzna zawsze zdobywa swoją kobietę.

– O, ja też! – Starła się mówić żartobliwie, ale głos jej drżał z emocji. – Ale zdawało mi się, że to kobieta zawsze zdobywa swojego mężczyznę.

– Tak czy owak mam nadzieję, że to doświadczenie nie zniechęci cię do dalszego pobytu.

– Czyżby? To byłaby idealna okazja, żeby się mnie pozbyć i zastąpić mężczyzną. Tego przecież chciałeś, czy nie?

– Teraz już nie. Zbyt dobrze sobie radzisz ze strzelbą, podobnie jak ze skalpelem. Poza tym podoba mi się to...

Pocałował ją znowu. Wezbrała w niej nieznana namiętność. Odwzajemniła

pocałunek z zarem harmonizującym z dziką przyrodą dokoła.

Do ich świadomości przedarł się odgłos silnika niby buczenie rozgniewanej osy. Owen usiadł. Alanna za nim, wolniej. Dopiero teraz poczuła, że ziąb przeniknął nawet przez jej grube ubranie. Z daleka pędem zbliżały się ku nim nartosanie. Sądząc po sylwetce jadącego, nie był to Skip. Oboje wstali i zaczęli machać rękami, choć nie mieli wątpliwości, że jedzie do nich.

– Na pewno strażnik – powiedział Owen. – Widocznie usłyszał strzały.

Oficer zatoczył wokół nich szeroki łuk i stanął. Alanna była prawie zawiedziona, że nie ma on na sobie tradycyjnej szkarłatnej kurtki, bryczesów i fantazyjnie wygiętego pilśniowego kapelusza. Ubrany był w całkiem prozaiczny granatowy kombinezon. Przyjrzał im się ciekawie i zeskoczył ze swojego pojazdu.

– Czołem! Ktoś słyszał strzały i zameldował nam. Nic wam się nie stało?

– Nie, nic, dzięki, Greg. Ale mieliśmy trochę emocji – niedźwiedź próbował mnie upolować. Moja koleżanka po fachu, doktor Hargrove, uratowała sytuację, strzelając w powietrze. Nie zraniliśmy go.

Oficer, potężny jasnowłosy mężczyzna o brązowych oczach, spojrzał z zainteresowaniem na Alannę, potem znów na Owena.

– Doktor Bentall... Owen? Myślałem, że wyjechałeś.

– Tak... ja też tak myślałem. Ale musiałem dość szybko wrócić. Awaryjna sytuacja.

– Rozumiem. Nazywam się Greg Farley, proszę pani. Miło mi panią poznać. To przykre, że niedźwiedź panią wystraszył. W którą stronę pobiegł?

Jego akcent znów przywiódł jej na myśl Johna Wayne'a; wróciło uczucie, że gra w starym filmie, dopóki jej wzrok nie natrafił na nartosanie zaparkowane w miejscu, , gdzie powinien stać psi zaprzęg.

– Prosto na wschód – odpowiedział za nią Owen Bentall.

– Zawiadomię leśniczego. Niech już on dopilnuje, żeby miś pozostał na wschodzie. Strasznie się cieszę, że nic się wam nie stało. Widząc, jak się nad nią pochylasz, byłbym przysięgł, że robisz jej sztuczne oddychanie. Spieszyłem się jak nie wiem co.

Wzrok cię omylił, Greg – roześmiał się Owen szeroko, a Alanna uśmiechnęła się. – Chcieliśmy tylko nabrać tchu.

– Aleście mnie nabrali! No dobrze, zawiozę teraz panią do wsi i wracam po ciebie, w porządku? Niech pani mi da strzelbę, położę ją z tyłu.

– Świetnie. Dzięki, Greg. Ja będę powoli szedł. Do zobaczenia w domu,

Alanno. Zostawiam cię z tym rycerzem w lśniącej zbroi.

– Jak to miło zobaczyć ładną kobietę z południa – zauważył oficer. – Nie żeby Bonnie Mae nie była ładna... tyle tylko, że kiedy zabieram ją na przejażdżkę, nartosanie się załamują. Poza tym ona ma chłopaka... ma na imię Chuck. Nie mam najmniejszego zamiaru wchodzić mu w drogę, o nie! Powinna pani zobaczyć jego figurę! To solidny kawał faceta.

Alanna zaśmiała się, z pewnością zgodnie z jego intencją. Myśl o niedźwiedziu zaczęła blednąć. Cóż znaczy jeden niedźwiedź, gdy ma się do czynienia z ludźmi takimi jak Greg Farley... że nie wspomni już o Owenie Bentallu?

– No, ruszamy, proszę pani, bo inaczej doktor Bentall przyjdzie przed nami. Zważywszy, że to miała być akcja ratunkowa, nie wyglądałoby to najlepiej, prawda? Proszę się mnie trzymać.

Przemknęli błyskawicznie obok Owena. Mijając go, zrobiła straszną minę na znak przerażenia prędkością jazdy. Gregowi Farleyowi pewno nie przyszło do głowy, że ona jedzie tym pojazdem po raz drugi w życiu. W mgnieniu oka znaleźli się przed stacją.

– Oto pani strzelba. Niech pani nie zrazi ta przygoda. Damy znać leśniczemu, żeby wytropił tego misia. Te, które ciągle podchodzą pod osady i rozrabiają, usypia się specjalnym nabojem ze środkiem usypiającym, pakuje w siatkę, do helikoptera, wywozi się daleko i tam dopiero wypuszcza na wolność.

– Cieszę się, że się ich nie zabija – odparła Alanna z przejęciem.

– Nie, staramy się chronić resztki naszej dzikiej przyrody. No, proszę iść się rozgrzać. Ja wracam po tego drugiego. Do zobaczenia.

– Do widzenia... I jeszcze raz dziękuję.

Dotarła do pokoju roztrzęsiona trochę z zimna, trochę z powodu opóźnionego szoku. Ręce jej drżały, zęby szczękały. Ściągnęła kolejne warstwy ubrania i weszła pod prysznic.

Później, gdy w swoim pokoju właśnie kończyła się ubierać w koszulę, ciepły sweter, dzinsy i grube skarpety, usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę!

– Zrobiłem dla nas gorącą czekoladę. Jest w saloniku. – Owen stał w drzwiach, także już wykąpany i przebrany.

– Dziękuję... tego mi było trzeba. Ciągle jeszcze się trzęsę. – Dołączyła do niego. – Pójdę później do kliniki zajrzeć do pana Racine'a, jeśli... jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Przyszło jej do głowy, że on mógł uważać pana Racine'a za swojego pacjenta i nie chciał, żeby się wtrącała. – Chyba... chyba chciałeś,



żebyśmy się przy nim zmieniali...

Zająknęła się, onieśmielona. Nie patrzyła mu w oczy. Tak niedawno obejmowali się i namiętnie całowali. Jak szybko sprawdziło się to, co uważała za insynuację!

– Tak, oczywiście – odparł jakby rozdrażniony. – Myślałem, że to już uzgodnione. Zobacz go koniecznie.

Ja się trochę prześpię, do kolacji, a potem posiedzę w nocy. Musimy sobie zrobić grafik dyżurów. – Kręcił się niespokojnie, wyglądał przez okno.

– Tak. Może wieczorem, jeśli będzie czas. – Czują, że mówi nienaturalnie i była na siebie wściekła.

– Słuchaj... chcę cię przeprosić za to, co zaszło. – Odwrócił się do niej gwałtownie. – Nie powinienem był cię dotykać... zwłaszcza po tym kazaniu, które ci wypaliłem w samolocie. Musiałaś mnie uważać za nadętego idiotę. A potem... sam robię coś takiego... Czwartego dnia!

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nic się nie stało, ja... chciałam, żebyś mnie pocałował. Byłam tak okropnie przerażona.

– Wiem. A ja to wykorzystałem. To źle. – Twarz miał pośepną, jakby był zły i na nią, i na siebie.

– Ależ naprawdę nic się nie stało. Chciałam tego. Nie jest mi przykro. Odpowiadam za to w takim samym stopniu jak ty. Na pewno też się przestraszyłeś. Jak to się mówi, nie ma sprawy.

– To może zakłócić naszą pracę...

– No, teraz rzeczywiście jesteś nadęty. Owszem, może, ale nie musi.

Miała nadzieję, że to skrępowanie szybko minie. Ta nagła, tak radykalna zmiana nastroju była denerwująca. I to właśnie teraz, kiedy zaczęła go poznawać i lubić. Zupełnie jakby zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

– Łatwo się mówi. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam. Byłaś wspaniała. Gdyby nie twoja przytomność umysłu... gdybyś nie wzięła strzelby... nawet nie chcę o tym myśleć.

– Przeprosiny przyjmuję, choć ich nie rozumiem.

Przecież objąłeś mnie w nocy w sali pooperacyjnej i Bonnie Mae też. To nic nie znaczy.

– Nie mów za mnie. To było co innego.

– Udało nam się w krótkim czasie dobrze zgrać w pracy. Nie chciałabym, żeby teraz coś stanęło nam na przeszkodzie.

– Ta uwaga potwierdza, że miałem rację – uciął. – Zamów kolację, co chcesz. Przy jedzeniu opracujemy grafik. – Bez jednego spojrzenia poszedł do swojego pokoju.

Fala upokorzenia zalała gorącem jej twarz i ciało. Typowo po męsku, pomyślała wściekła, pocałować kobietę, bo się miało ochotę, a potem wyżywać się na niej i za swoje pożądanie, i za to, że się nie potrafiło zapanować nad sobą. I jeszcze do tego udaje, że nie zrozumiał jej ostatnich słów.

Zaniosła puste kubki do kuchni. Jeśli ma być uczciwa wobec siebie, a zawsze się starała, to musi przyznać, że on jest niesamowicie pociągający. Ale są przecież dorośli! Na płaszczyźnie zawodowej mogą utrzymywać poprawne stosunki.

Nie, nie można tego tak zostawić. Jeśli Owen teraz pójdzie spać, a potem na dyżur, minie mnóstwo czasu, zanim będą mieli szansę naprawić tę nieprzyjemną sytuację. Zamówiła kolację, a potem, dodając sobie ducha, zapukała do jego drzwi.

t – Proszę – dobiegł ją stłumiony dźwięk.

Leżał na łóżku twarzą do ściany, ale odwrócił się do niej i podparł na łokciu. Zasłony były zaciągnięte. Oczywiście zamierzał spać.

– Owen... przepraszam, że przeszkadzam. Zajmę ci tylko chwilkę. Nie chcę, żeby między nami panowała taka... taka niechęć. Nie mogę tak pracować. Musimy to jakoś przezwyciężyć. Teraz.

– Co proponujesz?

– Po prostu uznać, że się sobie podobamy i że nie dopuścimy, żeby nam to przeszkadzało. Co znaczy jeden pocałunek od czasu do czasu? Nic. Nie bądź taki... honorowy i wyniosły. – Przerwała, czując, że chyba nie najlepiej to ujęła.

Zapanowała cisza. Alanna miała ochotę wyjść, ale stała jak przyrośnięta. Nagle Owen pociągnął ją do siebie, na łóżko.

– Ach... – wyrwało jej się.

Przez chwilę nic się nie działo. On tylko na nią patrzył, czekał... Bardzo powoli pochylił się nad nią i kilka razy delikatnie, drażniąco musnął ustami jej wargi, potem rozpalony policzek, potem ucho. Końcem języka z wielkim wyrafinowaniem zaczął zwiedzać wszystkie zakątki jego różowej muszli. Gdzieś w pokoju tykał zegar. Alanna trwała w rozkosznym unieruchomieniu i ciszy. Pożądanie wybuchło w niej z siłą, która ją poraziła. W jednej chwili zrozumiała swoją pomyłkę. Jakże była naiwna, sądząc, że zdoła mu się przeciwstawić! Gdzież jej do niego...

Ręka, którą podniosła, by go odepchnąć, jakby kierowana jakąś autonomiczną siłą, zanurzyła się w jego włosach. Alanna uprzytomniła sobie, że jej oddech przerodził się w cichy jęk, którego nie mogła powstrzymać. Gdy wydało jej się, że

ani chwili dłużej nie zniesie tak wielkiej błogości, jego usta spoczęły na jej wargach w namiętym, zaborczym pocałunku. Odwzajemniła mu się z równym żarem. Zmusił ją siłą swej osobowości, swoim urokiem, by oddała się w jego ręce. Teraz pozostało mu tylko wziąć ją.

Kiedy się od niej oderwał, leżała osłabła, nie mogąc podnieść głowy z poduszki, na której spoczywała w aureoli rozrzuconych włosów.

– Nie... – szepnęła. – Proszę...

Chodź do mnie, chciała powiedzieć. Nie odsuwaj się.

– Nadal uważasz, że to nic nie znaczy? – spytał cicho.

Cóż mogła powiedzieć? Tak bardzo pragnęła dotknąć jego ciepłej skóry.

– A więc? – nie ustępował.

– Tak – skłamała uparcie. Nie chciała się poddać.

– Doprawdy, panno Hargrove? – Ironia była aż nadto wyraźna.

– Nie musi... Możemy nadać temu takie znaczenie, jakie nam odpowiada.

Znów skłamała, drżąc. Miała nadzieję, że on tego nie widzi. Intuicja mówiła jej, że ten mężczyzna może ją zranić. Mimo wszystko wyszła mu naprzeciw. Przyciągnęła jego głowę do siebie i poszukała jego ust. Gdy całował ją chciwie, wyczuła jego uśmiech.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe, a zaraz za nimi wewnętrzne.

– Wyżerka przyszła! – Zmącił ciszę nieznany głos.

Owen zatrzęsł się ze śmiechu.

– To Joe, z kuchni, z naszą kolacją. – Zwinnie przeturlał się przez łóżko. – Nie wstawaj, kotku.

Alanna leżała w ciepłym zagłębieniu, które pozostawiło jego ciało. Chyba kochała już jego głos, jego powściągliwy dowcip, nawet jej kosztem.

– Dzięki, Joe! – zawołał Owen za drzwiami.

– Nie ma sprawy! Tylko żeby wam nie wystygło! – Dwoma kolejnymi trzaśnięciami ogłosił swoje odejście.

– No i co, panno Hargrove? – Owen usiadł znowu na brzegu łóżka. – Zajęła pani moje łóżko na dobre, a ja sobie wcale nie przypominam, żebym panią zapraszał.

– Przepraszam. I nie nazywaj mnie panną Hargrove.

– Staram się być poprawny... A więc co to przyszłaś mi powiedzieć? Że żaden kontakt fizyczny między nami nie ma znaczenia? Czy nadal jesteś tego taka pewna?

Wsunął rękę pod jej sweter i koszulę, chłodnymi palcami poszukał piersi, wprawnym ruchem rozpiął stanik z przodu i zamknął w dłoni ten wrażliwy pagórek. Drugą dłoń położył na jej udzie. Delikatnie pieścił ją przez grubą tkaninę dżinsów.

– Owen... proszę...

– Proszę co? – spytał.

Powoli, bardzo powoli wycofał rękę. Usiadł prosto i przyglądał się jej w przyćmionym świetle.

– Przyznaj, że się myliłaś.

Wtedy zrozumiała, że się z nią drażnił. Doprowadził ją do stanu takiego pragnienia po to, żeby pozostawić ją niezaspokojoną, żeby udowodnić swoją rację... wykazać to bez cienia wątpliwości im obojgu.

Upokorzenie i gniew sprawiły, że poderwała się, szarpnęła rękę i wyrzuciła ją naprzód, tak że dłoń napotkała jego twarz z głośnym, ostrym kłaśnięciem.

W pokoju zapadła straszliwa cisza. Wreszcie przerwał ją Owen.

– Jakież to banalne, Alanno – powiedział tonem niemal bezbarwnym, panując nad urazą.

Bliska łez, zerwała się i pobiegła do drzwi. Chciała uciec, schronić się w swojej sypialni. Lecz Owen znalazł się tuż za nią.

– Alanno...

– Teraz moja kolej – wyznała, oplatając mu rękę wokół szyi. – Teraz ja muszę przyznać, że zachowałam się jak idiotka. Przepraszam.

– Ależ ja chciałem, żebyś mnie pocałowała... – parafrazował jej słowa.

Wciąż się z nią droczył, gdy dla niej sytuacja stawała się śmiertelnie poważna.

– Musisz być taki arogancki... jakbyś pozjadał wszystkie rozumy? Przecież pragnąłeś mnie, choćbyś nie wiem jak starał się pokryć to ironią.

– Pewnie, że cię pragnąłem... pragnę. Jesteś niewiarygodnie piękna. Piękna kobieta, która jest także inteligentna, a dla ukoronowania wszystkiego odrobinę naiwna, zawsze ma w sobie coś...

– Zamknij się!

Gdyby teraz mogła mu powiedzieć, że jest siostrą Tima Cooke'a i że dobrze zna jego sztuczki. Ta nieodparta ochota dodatkowo ją męczyła.

– Chodź tu – powiedział łagodnie.

– Nie... nie zaczynamy znowu.

– Nie zaczynamy. Zawrzemy układ. Chodź.

A więc doprowadził ją tam, gdzie chciał. W stosownym czasie – według niego

– po przyzwoitej przerwie zostaną kochankami. Najwyraźniej uznał to za pewnik i, o dziwo, ona właściwie też. Z uporem, na złość postanowiła opierać się, jak długo zdoła.

– Posłuchaj, kotku... – Jego pociągła twarz była poważna, a w oczach jarzyło się pożądanie, jakiego nigdy nie dostrzegła u nikogo innego. – Wiesz przecież, że cię pragnę. .. bardzo, bardzo. Ale nie teraz, nie po czterech dniach.

Starł się ją ułagodzić, rozproszyć gniew, ale zamęt w jej głowie jeszcze się powiększył.

– Pewnie pomyślałeś, że jestem okropnie zblazowana...

– Nie... cudownie niewinna.

To mówiąc, wrócił tam, skąd zaczął. Przesunął wargami po wrażliwym płątku jej ucha.

– Owen... – zrobiła ostatni wysiłek. – Chciałabym żebyśmy zostali przyjaciółmi. Czy to takie naiwne?

– Nie. Myślę, że zasadniczo jesteśmy przyjaciółmi Zgoda?

– Tak...

– Musimy trochę ostygnąć – oświadczył. – Poczynając od jutra.

## Rozdział 6

Na początku tygodnia stało się jasne, że nie rzucił słów na wiatr.

– Hej, Alanna, co z wami, pokłóciliście się czy jak?

– szepnęła Bonnie Mae, gdy w poniedziałek rano usiedli, żeby wypić kawę przed porannymi operacjami. – Doktorek nagle taki oficjalny... – Odgryzła wielki kawałek pączka, żuła go z namysłem i wpatrywała się w Alannę swoim szczerym spojrzeniem.

– Nie, nie pokłóciliśmy się... – odszepnęła, żeby nie usłyszał ich Owen. – On po prostu postanowił utrzymywać nasze stosunki na stopie ściśle służbowej. Tym lepiej. Chyba się obawia, żeby coś z tego nie wynikło.

I nie bez podstaw, przyznała w duchu, gdy już wypowiedziała tę półprawdę.

– Widzisz go! Typowo po męsku! Weź sobie pączka.

– Bonnie Mae wystawiła głowę za drzwi, rozejrzała się i cofnęła do pokoju. – Słuchaj, Alanno, nie przejmuj się nim. Pójdzie po rozum do głowy. Myślę, że to wszystko przez tę jego okropną byłą narzeczoną. Ma uraz na punkcie lekarek.

– Powiedz mi coś o niej. Jak się poznali? – Ciekawość wzięła górę nad jej zwykłą powściągliwością.

– W szkole medycznej w Vancouver. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to musiała się tam dostać po znajomości. Na imię miała Gloria Samantha. – Bonnie wzniosła oczy ku górze w udawanym przerażeniu. – Już Bonnie Mae jest wystarczająco tragiczne. Ale po niej miał już pewnie z pół tuzina innych. Wystarczy na niego spojrzeć. Założę się, że przyjeżdża tu, żeby przed nimi uciec. – Zachichotała jak dziewczynka. – Ale nie martw się. Ja go znam. Zachowuje się tak dlatego, że nie ufa sobie.

– No, dobrze, Bonnie, do boju.

Alanna wstała. Ostatnie słowa Bonnie jakoś ją pokrzepiły.

– Ty operujesz czy doktorek?

– Uzgodniliśmy, że tym razem ja będę operować, a on znieczulać. Staramy się wymieniać.

Kiedy pielęgniarka wyszła swoim charakterystycznym krokiem marynarza, do pokoju wszedł Owen. Alanna poderwała się i ruszyła za nią z niewyraźnym „To ja już idę się myć”. Kątem oka złowiła jego uniesione brwi i czujne spojrzenie. Tydzień temu uznałaby taką sytuację za śmieszna. Niepewna, jak ma się do niego odnosić, uznała, że najlepiej będzie wycofać się do swoich zajęć.

Według grafiku, który wspólnie opracowali, Owen miał wolne soboty, a ona niedziele. Dyżury pełnili co drugi dzień i co drugi weekend. W poniedziałki, środy i piątki przeważnie operowali, we wtorki i czwartki przyjmowali w ambulatorium. Wizyty domowe dopasowywało się do schematu w zależności od potrzeby. Oczywiście nagłe przypadki zawsze miały pierwszeństwo przed pracą planową. Poza tym Owen musiał jeszcze wizytować pobliskie kopalnie, dokonywać przeglądów profilaktycznych, sprawdzać wyposażenie do pierwszej pomocy i szczepić przeciwko tężcowi. Właśnie w przyszłym tygodniu miał lecieć na jedną z takich wizyt. Alanna cieszyła się, że w czasie jego nieobecności nareszcie swobodniej odetchnie.

Dzień po dniu dowiadywała się coraz więcej o okolicy i jej mieszkańcach. Teraz wydawało jej się, że sześć miesięcy to bardzo niewiele, ale czy wytrzymałaby tu długo w zimie, gdy w dzień jest ciemno, a nie osłonięta skóra przemarza w ciągu sekund?

Miała teraz czas na zwiedzenie wsi, obejrzenie miejscowego sklepu spożywczego. Był tu też inny mały sklepik, w którym sprzedawali swoje wyroby miejscowi rzemieślnicy. Ludzie rozpoznawali ją i odnosili się do niej po przyjacielsku, życzliwie, dzieci z ciekawością. Widzieli już tu wielu lekarzy, choć na ogół mężczyzn, toteż nową twarz przyjmowali ze spokojem i fatalistyczną świadomością, że i ona wkrótce zniknie.

– Chcesz iść ze mną na wizyty, Alanno? – zaproponowała któregoś dnia Bonnie Mae. – Już czas, żebyś zobaczyła parę domów. Mamy pana Racine'a, pana Q... pana Lemieux... tego to trzeba pilnować, bo sam o siebie nie zadba... no i chciałabym, żebyś rzuciła okiem na starego Charliego Patychuka, z zapaleniem płuc. Ma się już lepiej, ale ta jego klatka piersiowa to naprawdę coś! Staruszek kurzy jak komin. No i co zrobić? Kiedy mu mówię, żeby rzucił palenie, wzrusza tylko ramionami i udaje, że nie rozumie ani słowa po angielsku.

– Patychuk? Tak się nazywał ten chłopiec z pieskiem. Tommy Patychuk.

– Właśnie. Stary Charlie to jego dziadek. Bardzo się kochają, Tommy stale u niego siedzi, więc może upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Obaj powinni mieć zrobione zdjęcie klatki piersiowej.

Charlie był stary i kruchy. Większość czasu spędzał w łóżku. Mieszkał w małym drewnianym domku ze swoją zamężną córką i jej dwojgiem dzieci. W dużym pokoju rozpięte na ramach suszyły się dwie świeże skóry karibu. Alanna przyjrzała im się ciekawie po drodze do sypialni. Ludzie nie mieli tu zbyt wielu rzeczy materialnych. Za pośrednictwem telewizji kontaktowali się ze światem w

dużej mierze zupełnie dla nich obcym. Tradycyjny styl życia łowców karibu, fok, morsów i niedźwiedzi polarnych przeplatał się z nowym, którego symbolami były elektroniczne gadżety i nowoczesne środki komunikacji.

Żywili obawę, że następne pokolenia zatracą umiejętności potrzebne do życia w takim miejscu. Niektórzy powracali do tradycji psich zaprzęgów. Wiele rodzin w Chalmers Bay trzymało husky. Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę, gdy wchodziły do sypialni staruszka. Uśmiechnął się do nich, obnażając przebarwione od tytoniu zęby. Jego oczy jak błyszczące węgielki zdradzały żywą inteligencję i humor.

– Dzień dobry, panie Patychuk – powitała go Alanna.

Dodała kilka słów w języku inuktitut, choć wiedziała od Bonnie Mae, że staruszek zna trochę angielski. W młodości był przewodnikiem oficjalnych gości rządowych.

Wyjęła słuchawkę i zaczęła go osłuchiwać. Palił przez długie lata, a teraz był już za stary, żeby przestać mimo wszelkich upomnień.

– Głęboki wdech, panie Patychuk. Dobrze. Proszę zakasłać.

Nie było wątpliwości, że miał zapalenie płuc i opłucnej, a do tego na pewno zastarzałą gruźlicę, kiedyś zaleczoną, ale teraz mogła się uaktywnić. Przytykając słuchawkę to tu, to tam, Alanna zastanawiała się, czy nie ma też przypadkiem raka płuc. Tyle lat palenia... Postanowiła zorganizować mu transport do stacji, aby zrobić w niej zdjęcie rentgenowskie. Zdjęcie najprawdopodobniej trzeba będzie przesłać do oceny radiologowi w Edmonton.

Ze swojej lekarskiej torby wyjęła próbkę i podała Charliemu.

– Chciałabym, żeby pan odkrztusił do tego pojemnika trochę płwociny, panie Patychuk. Poślę to do Edmonton.

Badanie płwociny pod mikroskopem mogłoby wyjaśnić, czy jest czynna gruźlica, czy utrzymuje się ropne zapalenie płuc, czy też może są w niej komórki nowotworowe.

– Jest dużo lepiej niż ostatnio – zapewniła Bonnie Mae córkę Charliego, która cicho stała w progu. – Może już trochę wstawać, prawda, Alanno? Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby nie palił.

Córka skinęła głową i z rezygnacją wzruszyła ramionami. Palenie było jedyną przyjemnością, jaka mu pozostała. Polować już nie mógł.

Gdy wychodziły, przyszedł Tommy z nieodłącznym szczeniakiem. Uśmiechnął się nieśmiało, najwyraźniej ucieszony, że je spotkał.

– Jak twoja suczka, Tommy? – Alanna schyliła się, żeby ją popieścić.



– Jest wspaniała. Uczę ją siadać i nosić uprząż. Kiedy podrośnie, będzie ciągnąć sanie i może prowadzić zaprzęg – oświadczył ufny w swoje umiejętności treserskie. – Suki są najlepszymi przewodnikami.

Mam nadzieję, że kiedy już będzie ciągnąć sanie, przyjedziesz nam ją pokazać. Bardzo chciałabym to zobaczyć.

– Oczywiście. Jeśli pani jeszcze będzie w Chalmers Bay. Postaram się zdążyć przed odwilżą.

– Teraz chciałybyśmy cię zbadać, Tommy – powiedziała Bonnie Mae. – I przyjedź do przychodni razem z dziadkiem. Skip was przywiezie. Będziecie mieli zdjęcie klatki piersiowej. Dobrze?

– Dobrze.

W drugi piątek Alanny w Chalmers Bay Owen zaprosił ją na drinka do miejscowego baru o nazwie Złoty Nugat. Zachowywał się inaczej niż dotąd. Przy drugim drinku rozmawiali swobodnie i żartowali, jakby znali się od dawna.

– Kiedy mnie nie będzie – powiedział w związku z zaplanowaną już od poniedziałku podróżą służbową – możesz w każdej chwili skontaktować się ze mną przez radiotelefon. W kopalniach jest doskonały sprzęt telekomunikacyjny. W kilka minut od wezwania mogę już być w samolocie. Chciałbym, żebyś się nie czuła osamotniona i pokrzywdzona, że opuszczam cię po zaledwie dwóch tygodniach. Gdybym nie uważał, że jesteś naprawdę dobra, nie wyjeżdżałbym jeszcze.

– W porządku, nie szkodzi. Na pewno sobie poradzę. Może... może tylko będzie mi ciebie brakowało.

Gdy wypowiedziała te słowa, jego oczy pociemniały. W powietrzu między nimi przebiegały jakby ładunki elektryczne. Nagle ich kontakt zakłóciło przybycie grupy mężczyzn, którzy obsiedli pobliski stół i hałasem wypełnili całe pomieszczenie. Wyglądało na to, że mają zamiar przesiedzieć tam całą noc. Alanna i Owen zrozumieli, że czas wyjść. Alanna nie zdążyła poruszyć tematu narzeczonej, czy też byłej narzeczonej, ale teraz było już za późno.

Gdy wyszli z kręgu słabego światła żarówki nad drzwiami Złotego Nugatu, Owen ujął jej rękę i wsunął sobie pod ramię. W drodze do szerszej ścieżki potykali się i ślizgali. W niesamowitej scenerii zmierzchu wydawało się, że poza nimi nie ma tam żywej duszy.

Zboczyli nieco z drogi, aby przespacerować się nad wodą, gdzie stał lodolamacz i jakiś inny statek. Za wstęgą ciemnej wody widzieli kawały lodu, które co chwila zderzały się i w przygasającym świetle połyskiwały dziwnym blaskiem.

Dalej leżały niewidoczne wyspy: Wiktorii, Banksa, Melville'a, a jeszcze dalej, aż do bieguna północnego, skute wiecznym lodem Morze Arktyczne.

Wreszcie znaleźli się z powrotem w domu. Wchodząc do salonu, Alana przekreśliła kontakt, ale na próżno.

– Nie ma prądu.

– Cholera! Przynies z kuchni latarkę. Ja sprawdzę korki. To się tu dość często zdarza. Możesz zapalić parę świec? Są w szufladzie pod stolikiem, zapalki też.

Po chwili dołączył do niej.

– Korki są w porządku. To musi być jakieś centralne urządzenie. Jeśli zrobi się naprawdę zimno, możemy zawsze przytulić się do siebie.

Ich oczy spotkały się nad tańczącymi płomykami świec. Przeszył ją dreszcz. Zebrała całą siłę woli, aby bronić się przed jego urokiem. Alkohol wypity w barze najwyraźniej osłabił jego rezerwę w stosunku do niej. Musnął jej lodowaty policzek ciepłą dłonią i odgarnął włosy z czoła.

– Gdybym ci powiedział, o czym teraz myślę, mogłabyś mnie zaskarżyć o napastowanie seksualne w miejscu pracy.

– W takim razie trzeba ci wiedzieć, że ja mogłabym na tej samej zasadzie zostać oskarżona o morderstwo... i to już kilka razy.

– Zaryzykuję teraz, skoro jesteś nie uzbrojona... Pocałuj mnie, Alanno. Pragnę tego od dwóch godzin.

Był spięty, wyraźnie czekał na jej następny krok.

W jej pamięci odżył smak jego ust; osunęła się w jego ramiona i uniosła ku niemu twarz. Pocałunek był zaborczy. Twarde usta Owena pieściły jej miękkie wargi w taki sposób, że zatoneła w dziwnym, otaczającym ją ze wszystkich stron cieple i nie mogła się poruszyć...

– Chcę się z tobą kochać... Chodź do łóżka... Alanno – usłyszała wyszeptane wprost w jej policzek słowa.

Były na tyle niewyraźne, że nie miała pewności, czy jej się nie wydawało. Lecz trudno byłoby się omylić, widząc wyraz jego twarzy. I nawet gdyby udała, że nie słyszała jego słów, była bezradna wobec płomienia pożądania w niej samej.

W tym samym pokoju był ze swoją narzeczoną, być może mówił jej te same słowa... i wziął ją, z pewnością chętną, do łóżka. A może to była inicjatywa Glorii? Czy ma iść w jej ślady? Jak łatwo byłoby powiedzieć „tak"! Tego przecież chciała naprawdę.

Przyciągnęła jego głowę do siebie. Pocałowała go długo, głęboko, prowokacyjnie, umiejętnie poruszając wargami, aż poczuła, że drży z pragnienia.

Chciała, żeby miał co wspominać, jeśli wszystko się skończy, gdy okaże się, że ona jest siostrą Tima Cooke'a...

Po czym, zbierając wszystkie siły, wyzwoliła się z jego ramion.

– To nie jest odpowiedni moment. Oboje piliśmy. Przepraszam cię, Owen.

Zdumiony, zmrużył oczy. Jego oddech był przyspieszony.

– Jeśli to nie jest odpowiedni moment, to kiedy będzie odpowiedni?

– Nie wiem.

– Ja tego nie chciałem. Ale skoro się stało, chyba nie pozostaje nam nic innego jak to zaakceptować. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem w samolocie... dowiedziałem się, kim jesteś... to było nieuniknione.

– Nie wiesz wszystkiego... – Będzie musiała powiedzieć mu o Timie.

Dzwonek telefonu w kuchni przywołał ich do rzeczywistości. Chwiejnym krokiem poszła odebrać.

– Nie macie prądu? – spytał głos Bonnie Mae.

– Tak, Bonnie.

– Przed chwilą miałam telefon. Kabel jest zerwany, ale będzie naprawiony za jakieś piętnaście minut. Jeśli wam zimno, to możecie przyjść do mnie. Ale macie też gazowy grzejnik w kredensie. Doktorek wie gdzie, choć nie przypuszczam, żeby się z tym zdradził, jeśli zechce ogrzać cię osobiście.

W innych okolicznościach z pewnością zawtórowałaby gardłowemu śmiechowi Bonnie Mae.

– Dzięki, Bonnie. Pa.

Owen stanął w drzwiach, oparty obiema rękami o framugę.

– I cóż?

Nagle niespodziewanie porwał ją w ramiona. Jego dłonie odszukały nagą skórę pod obszernym swetrem. Całował ją łapczywie, krusząc wszelki opór. Przywarła do niego. Wszystko inne zginęło w otchłani niepamięci. Gdy zaczął ją rozbierać w tym zimnym pokoju, pomagała mu, chciała czuć jego ręce na ciele... Drżąc zsunęła koszulę z jego szerokich, masywnych ramion.

– Pragniesz mnie... przyznaj! – twardo zażądał odpowiedzi.

– Tak...

Stała niemal naga, wtulona w jego objęcia, zamknięta w jego ciepłe przed przeszywającym zimnem, gdy rozległo się głośnie walenie do drzwi wejściowych.

– Kto u diabła... ? – warknął, odrywając się od niej niechętnie.

Poszedł otworzyć, a ona szybko pozbierała ubranie i uciekła do swojego pokoju. Gdy drżącymi palcami zamykała zasuwkę, męskie głosy przenikały do jej

schronienia. Trochę później usłyszała lekkie, uparte pukanie do drzwi, ale została w łazience, pod prysznicem. Drzwi łazienki zostawiła otwarte, aby mieć pewność, że Owen usłyszy szum wody. Gorąca kaskada musiała jej wystarczyć jako substytut ciepłych objęć mężczyzny, którego pragnęła bardziej niż czegokolwiek na świecie.

## Rozdział 7

Dużą część weekendu Owen spędził poza stacją. W sobotę, kiedy ona miała dyżur, długo spał. Niedziela była jej wolnym dniem. Poszła do małego anglikańskiego kościółka, Owen zaś większość dnia przesiedział w ambulatorium. Gdy spotkali się wieczorem, powitała go dość oficjalnie, a on odpowiedział z wystudiowaną grzecznością.

O pierwszej w nocy ze spokojnego snu zbudził Alannę telefon. Natychmiast oprzytomniała i zerwała się z łóżka, gotowa biec.

– Alanno – w słuchawce zabrzmiał zmartwiony głos Bonnie Mae. – Jedzie do nas pięcioletni dzieciak z rodzicami. Ma zaburzenia oddychania. Źle to wygląda. Przed chwilą rozmawiałam z jego matką przez telefon. Od wczoraj bolało go gardło i miał trochę temperatury, a wieczorem gorączka skoczyła. Najpierw myśleli, że sami sobie poradzą, ale od pół godziny chłopczyk ma trudności z oddychaniem i sinieje. Powiedziałam, żeby go natychmiast przywieźli.

Słuchając Bonnie Mae, Alanna błyskawicznie rozważała w myślach, co trzeba zrobić. Przemknęło jej przez głowę, żeby wezwać do pomocy Owena, ale zdecydowała, że najpierw zobaczy chłopca i oceni sytuację.

– Zbadam to dziecko w sali operacyjnej, Bonnie. Na wszelki wypadek. Przygotuj mały zestaw do tracheotomii, laryngoskop i giętki bronchoskop. Jeśli to ostre zapalenie nagłośni, to trzeba będzie natychmiast przywrócić drożność dróg oddechowych. To pierwsza sprawa. Dalej kroplówka, sól fizjologiczna i antybiotyk dożylny. Jeśli zdążysz przed moim przyjściem, to naciągnij mi jeszcze do strzykawki jednoprocetowej xylocainy.

– Tak jest. Już lecę.

Alanna po cichu wymknęła się z mieszkania. Gdy znalazła się w łączniku, ruszyła biegiem. Jej kroki dudniły głucho w zetknięciu z drewnianą podłogą. Wiedziała, że zapalenie nagłośni rozwija się błyskawicznie i że jeśli obrzęknięta nagłośnia zablokuje krtań i odetnie dopływ powietrza do płuc, dziecko może się bardzo szybko udusić.

Bonnie Mae była już na miejscu. Poruszała się zwinnie i szybko. Ułożyła sterylny zestaw do tracheotomii na małym wózku i nabrała do strzykawki leku znieczulającego.

– Nie sprawdziłam jeszcze aparatu do narkozy – powiedziała. – Wczoraj był w porządku.

– Ja to zrobię. Potrzebuję też zestawu do wymazu z gardła. – Z zewnątrz dobiegł je dźwięk nartosań. – To na pewno oni.

Jeden rzut oka na twarz dziecka, które Bonnie w asyście zrozpaczonych rodziców przyniosła biegiem do sali operacyjnej, pozwolił Alarmie zrozumieć, że sytuacja jest krytyczna. Skóra była niemal granatowa z braku tlenu, usta szeroko otwarte, język na wierzchu. Zbyt przerażony, żeby płakać, chłopiec bezskutecznie próbował zaczerpnąć powietrza i wpatrywał się w nią wielkimi oczami.

W normalnych warunkach nikomu z zewnątrz nie wolno wchodzić do sali operacyjnej, ale tym razem ani Alanna, ani Bonnie nie bawiły się w ceremonie. Zresztą wątpliwe, czy rodzice daliby się zatrzymać pod drzwiami. Nie byli tubylcami, lecz prawdopodobnie przybyszami z południa. Gdy Bonnie ułożyła chłopca na stole operacyjnym, stanęli obok, ściskając jego rączki. Drżeli o jego życie.

– Poleż sobie tutaj, John – przemawiała Bonnie do chłopca uspokajającym tonem. – Wszystko będzie dobrze. Mamusia i tatuś będą cały czas przy tobie.

– Dzień dobry, jestem lekarzem, moje nazwisko Hargrove – przedstawiła się Alanna rodzicom i zwróciła się do chłopca.

Żałowała, że od razu nie wezwała Owena, ale teraz nie było już czasu na telefonowanie. Nagle przypomniała sobie o dzwonku alarmowym, który dzwonił w części mieszkalnej. Na ten sygnał każdy przybiegał nie pytając, co się stało.

– Naciśnij alarm, Bonnie – powiedziała cicho do pielęgniarki.

Wzięła z wózka sterylne rękawiczki.

– Posłuchaj, John, włożę ci teraz w gardło małą rurkę, żebyś mógł oddychać. To nie potrwa długo, i najpierw wstrzyknę ci w skórę lekarstwo, żeby cię nic nie zabolalo. Musisz tylko leżeć spokojnie.

Bonnie, która tymczasem nacisnęła dzwonek alarmowy, stanęła obok niej.

– Mamusia staje tutaj, u szczytu stołu – zakomenderowała stanowczo – i trzyma Johna za główkę, delikatnie, ale mocno, żeby się nie poruszył, kiedy pani doktor będzie znieczulać i zakładać rurkę. Dobrze? Teraz tatuś... proszę go trzymać za rączki, o tak, świetnie! Mam już ssak i tlen. Pani doktor gotowa?

Alanna wzięła strzykawkę. W pokoju słychać było jedynie bolesny, ciężki oddech dziecka. To było dobre posunięcie psychologiczne ze strony Bonnie Mae, żeby włączyć do współpracy rodziców, niezależnie od tego, że ich pomoc rzeczywiście się przyda. Matka stała sztywno z zaciśniętymi wargami, wstrzymując łzy. Ojciec trzymał chłopca za rękę.

– Maleńkie ukłucie, jak ukąszenie komara – powiedziała, pochylając się nad

nim tak, żeby nie widział strzykawki. – Wszystko będzie dobrze. Bonnie, daj mi wacik ze spirytusem.

Poszukała palcami wcięcia mostka. Oczami duszy zobaczyła Owena, jak ubiera się pospiesznie w sypialni. Żałowała, że go tu nie ma. Gdy wbiła igłę w skórę, chłopiec tylko drgnął. Nie miał siły płakać. Palcami lewej ręki wymacała tchawicę. Teraz trzeba było na siłę przez skórę i tkankę podskórną wprowadzić do jej wnętrza ostry trokar, aby umożliwić chłopcu, który gwałtownie słabł, zaczerpnięcie powietrza.

Pchnęła osłonięty cienką kaniulą trokar, po czym wycofała go, pozostawiając kaniulę. Gdy powietrze z sykiem przedostało się do drobnej klatki piersiowej, i jej, i pielęgniarce wyrwało się westchnienie. Bonnie szybko i sprawnie wprowadziła do otworu kaniuli końcówkę ssaka i odessała śluz, który częściowo także blokował drogi oddechowe.

– Teraz tlen... szybko. – Alanna mówiła głosem wysokim ze zdenerwowania.

Najgorsze było za nimi, ale do końca jeszcze daleko. Przez podłączony do kaniuli dren podała tlen. Niemal natychmiast skóra dziecka zmieniła kolor z szarobłękitnego na różowy. Matka odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu, och, dzięki Bogu – wyszeptala i lzy potoczyły się jej po twarzy. John leżał spokojnie, wpatrzony w nią ufnymi pełnymi wyrazu oczami.

Alanna podniosła głowę. Owen nie zauważony wszedł do sali i stał teraz za nią, obserwując całą akcję. Na jego widok napięcie ją opuściło.

– Owen – zwróciła się do niego, zajęta przytrzymywaniem kaniuli – czy mógłbyś podłączyć kroplówkę? Przepraszam, że cię zerwałam, ale potrzebuję pomocy.

– W porządku. I tak nie spałem. Usłyszałem, jak biegiesz łącznikiem, więc wiedziałem, że coś się dzieje. Zrobiłaś kawał dobrej roboty, jak widzę. Pomogę ci umocować rurkę tracheotomijną... ale najpierw kroplówka.

– Tak, dziękuję. Chciałabym też pobrać wymaz. Wcześniej nie było czasu.

Patrzyła, jak wkłupa się do żyły na dłoni chłopca. W dawnych czasach, właściwie nie tak dawnych, to dziecko, jak wiele innych, prawdopodobnie umarłoby w drodze do miasta. Za chwilę z pomocą Owena założy mu rurkę, przez którą będzie mogło oddychać, dopóki infekcja nie ustąpi. Wymaz poleci samolotem do pracowni bakteriologicznej w mieście, gdzie zostanie ustalone, jaki zarazek wywołał chorobę.

Kiedy skończyli, chłopiec pojechał do sali pooperacyjnej razem z rodzicami, którzy wyrazili chęć czuwania przy nim do rana, i wyczerpany natychmiast zapadł

w sen. Owen ujął Alannę za ramię.

– Chodźmy do dyżurki, zrobię kawę.

Poszła za nim posłusznie, pozostawiwszy pacjenta pod opieką Bonnie Mae. W dyżurce było miło i przytulnie dzięki kwiatom w doniczkach i kolorowym kartkom przypiętym do korkowej tablicy. Owen był rozczochrany, kołnierzyk białego fartucha miał podwinięty, na twarzy cień zarostu.

– Rodzicom też zrobię kawy. A ty siadaj. Musimy przedyskutować sprawę mojego wyjazdu. Chyba powinienem to odłożyć na kilka dni, dopóki chłopiec nie poczuje się lepiej. Na razie wymaga całodobowego nadzoru. Moglibyśmy go wprawdzie odesłać do miasta, ale na pewno wolałby być z rodzicami.

– Ja też myślę, że tak będzie lepiej – powiedziała Alanna.

Widziała, że coś jeszcze leży mu na sercu. Obserwowała go, gdy robił kawę. Na chwilę wyszedł, żeby zanieść trzy kubki do sali pooperacyjnej. Co teraz?

Kiedy wrócił, zagadka się rozwiązała.

– Chcę cię przeprosić za moje zachowanie podczas lotu z Edmonton. Za niesprawiedliwe insynuacje. Jesteś bardzo dobrą lekarką, a ja nie miałem prawa na ciebie najeżdzać. Wiem, że na przeprosiny trochę za późno, ale...

– Ależ ja rozumiem. – Wiedziona swawolą dodała: – Słyszałam, że miałeś złe doświadczenia. Zdaje się, że w związku z narzeczoną... o imieniu Gloria Samantha?

Na jego twarzy dostrzegła zaskoczenie. Pociągnęła łyk kawy, wytrzymując spojrzenie tych szarych oczu, które zdawały się czytać w jej myślach. Potem ku jej uldze roześmiał się, szczerze ubawiony.

– Widzę, że Bonnie Mae nie próżnowała. Nie tylko plotkowała, ale w dodatku zabawiała się w psychologa. Rzeczywiście, miałem kiedyś narzeczoną... coś w tym rodzaju. Zaręczyliśmy się przed przyjazdem tutaj, głównie z jej inicjatywy. Wydawało się, że tak będzie zreczniej. To była pomyłka. Czy twoja ciekawość została zaspokojona?

Alanna z wolna pokiwała głową i wsypała sobie do kawy kolejną łyżeczkę cukru. Na jej policzki wypłynął rumieniec.

– To nie były plotki. Po prostu Bonnie Mae zauważyła, że odnosisz się do mnie dość... hm, nieprzyjaźnie, i stąd wynikła i rozmowa, i psychologia.

– Może i jest w tym coś z prawdy. Fakt, że Gloria była cholernie kiepską lekarką. Nie uważam tak dlatego, że jest kobietą. Cholernie kiepskich lekarzy spotyka się wśród obu pici. Potem zrobiła specjalizację z dermatologii. Niewiele można zaszkodzić w przypadku trądziku. A żebyś wiedziała już wszystko, owszem,



sypialiśmy ze sobą. Jest piękna, a to pomagało nam przetrwać tutejsze długie noce. Kiedy wróciła do Vancouver, z miejsca wyszła za kogoś innego.

– Nie chciałam być wścibska. – Twarz Alanny płonęła.

– W porządku. Lubię wiedzieć, co się o mnie mówi za moimi plecami. I wolę, żeby to była prawda. Pomijając łóżko, niewiele z niej było pożytku. Widzę, że z tobą jest na odwrót... za co chyba powinienem być wdzięczny losowi. W każdym razie mam nadzieję, że przyjmujesz moje przeprosiny. A teraz chodźmy do pacjenta, dobrze?

Owen poleciał w końcu na inspekcję w kopalniach Black Lake dopiero w czwartek. Powrót zapowiedział na sobotę. Przed odlotem przedyskutowali dalsze postępowanie z chłopcem. Postanowili utrzymać rurkę tracheotomijną jeszcze przez kilka dni.

– Gdybyś miała jakikolwiek problem, dzwoń. Dobrze?

Na pożegnanie uśmiechnął się do niej ciepło. Alanna z mieszanymi uczuciami spoglądała za nartosaniami, którymi Skip odwoził go do samolotu.

Tego dnia badała znowu młodą kobietę w ciąży, Lynne Nanchook. Lynne przysłała z synkiem, maluchem, który był już jednak za duży, żeby go nosić w matczynej *amauti*, obszernej parze z kieszenią na plecach i kapturem, który osłania i matkę, i dziecko. Miał już własną szubkę. Gdy Alanna spojrzała na niego, wstydliwie wtulił buzię w piersi matki, a potem, podczas badania, cały czas trzymał ją za rękę.

– Wiadomo już, czy muszę jechać do miasta? – spytała niespokojnie Lynne, gdy Alanna obmacywała jej wydęty brzuch. – Mój syn... nie puszcza mnie od siebie ani na chwilę... Będzie się bardzo martwić, jeśli pojedę.

– No, cóż, w tej chwili dziecko jest ułożone główką do góry, to się nazywa położenie pośladkowe. Na razie to nie szkodzi, ale później lepiej byłoby, żeby dziecko obróciło się główką w dół. Czasem dziecko się nie obraca. To może znaczyć, że nie będzie mogło się łatwo urodzić. I tego się obawiamy w twoim przypadku, bo tak było za pierwszym razem. No, ale jest jeszcze wcześnie. Postaraj się na razie nie martwić. – Alanna uśmiechnęła się do chłopca, który teraz oparł zakapturzoną główkę na bezpiecznym ramieniu matki. – Przygotuj się do wyjazdu, spakuj się wcześniej, ale jeszcze nic nie jest przesądzone.

Lynne westchnęła.

– Dobrze – powiedziała z rezygnacją.

– Przyjdź za dwa tygodnie. Może do tej pory dziecko już się obróci. Nie martw

się.

Gdy Lynne odeszła, Alanna sama była zmartwiona. Za jej niechętnym przytakiwaniem wyczuwała desperacki opór przeciwko wyjazdowi z Chalmers Bay. Zresztą całkiem zrozumiały.

– Tutaj to albo nie wiadomo w co ręce włożyć, albo nudy na pudy – powiedziała jej wieczorem Bonnie Mae, gdy przejmowała dyżur przy Johnie, ich jedynym leżącym pacjentem. – Może teraz przez dłuższy czas będzie spokój? Miejmy nadzieję. Mogłybyśmy odespać.

– Właśnie. No to na razie, Bonnie, przyjdę cię zmienić.

Mieszkanie wydało jej się tak ciche i opuszczone, że szybko włączyła radio. Gdy przygotowywała kolację, przypomniały jej się pewne dane statystyczne, z którymi zapoznała się w czasie wstępnego szkolenia. Na tych terenach na tysiąc stu mieszkańców przypadał jeden lekarz. A w tej grupie lekarzy obsługującej całą pięćdziesięciodwutysięczną populację nie było nawet dziesięciu specjalistów.

Pozbawiona obecności Owena zobaczyła oczami duszy tysiąc stu pacjentów, za których była statystycznie rzecz biorąc odpowiedzialna, jak wszyscy naraz przybywają do stacji medycznej Chalmers Bay samolotem, statkiem i psimi zaprzęgami. Jedząc swoją samotną kolację, czuła się raczej nieswojo na myśl, że to właśnie ona jest dla nich ostatnią instancją.

Rano nadarzyła się świetna okazja, żeby zajrzeć do dokumentacji niefortunnego przypadku Tima. Szafka, w której znajdowały się stare historie choroby, nie była zamykana na klucz. Alanna szybko przeglądała ułożone w porządku alfabetycznym koperty z niemiłym uczuciem, że robi coś niedozwolonego. Nie bądź śmieszna, złażała się w myśli. Masz wszelkie prawo zaglądać do dokumentacji medycznej. A jednak czułaby się lepiej, gdyby od razu powiedziała Owenowi i Bonnie Mae o swoim pokrewieństwie z Timem Cookiem.

Ku jej rozczarowaniu koperta, której szukała, była prawie pusta, jeśli nie liczyć fotokopii dwóch kartek z podstawowymi informacjami. Nie było tam nic na temat przeprowadzonego w klinice cesarskiego cięcia.

Dwójkę starszych dzieci pacjentka urodziła z powodu powikłań przedporodowych przez cesarskie cięcie w szpitalu w Edmonton. Trzecia ciąża, którą opiekował się Tim, miała być rozwiązana w ten sam sposób. Choć Tim wszystko jej opowiedział, chciała zobaczyć notatki na własne oczy, może porobić kopie. Tamta kobieta znajdowała się mniej więcej w takiej sytuacji, jak teraz Lynne Nanchook.

– Co tam, Alanno? – Na dźwięk rażącego głosu Bonnie Mae podskoczyła w poczuciu winy. – Co tu robisz tak wcześnie?

– O, cześć, Bonnie. Chciałam tylko coś sprawdzić. Jak tam John?

– Dobrze. Rurkę będzie można usunąć w sobotę, jak doktorek wróci. Chcesz kawy? Właśnie miałam sobie zrobić. Nuna przyszła ze wsi, żeby mnie zastąpić. Padam z nóg.

– Dzięki. Chętnie się napiję.

– Co czytasz? – Bonnie Mae z typową dla niej ciekawością zajrzała jej przez ramię. – O, to ten przypadek, w sprawie którego było śledztwo, prawda?

– Tak, masz rację, Bonnie. – Alanna zaczerwieniła się i podjęła decyzję. – Najlepiej będzie, jeśli ci powiem. Tim Cooke jest moim bratem. Przyrodnim bratem. Powinnam była powiedzieć ci wcześniej, ale obawiałam się, że to może być krępujące. Po prostu wolałam, żeby Owen Bentall nie wiedział... na razie. Chciałam się czegoś dowiedzieć na własną rękę. Tim uważał, że został potraktowany niesprawiedliwie, że doktor Debray najpierw przeforsował swoją decyzję, a potem postarał się tak przedstawić sprawę, żeby cała wina za to, że dziecko urodziło się martwe, spadła na niego.

– No, coś podobnego! To znaczy, że ty jesteś jego siostrą. Zawsze jakoś mi go przypominałaś. Składałam to na karb akcentu. Tak, to była dziwna sprawa. Opowiadała mi o tym pielęgniarka, która mnie wtedy zastępowała. Była po stronie Tima. Ten Clinton Debray... Sobie by wmówił, że białe jest czarne i na odwrót. A czego dokładnie szukasz? Dokumentację pewnie zabrała policja.

– Tim mówił, że nadawał komunikaty przez radio, że próbował nawiązać łączność z jakimś samolotem. Nie może tego udowodnić, ale twierdzi, że na chwilę złapał kontakt, choć nie wie z kim. On chciał od razu odesłać tę kobietę do miasta. Debray był temu przeciwny... dla oszczędności, czy z innych względów. Ale Tim nie ma dowodów, że chciał ją odesłać.

– No tak... – powiedziała z namysłem Bonnie Mae.

Tim był naprawdę przybity. – Alanna nie wdawała się w szczegóły jego relacji, jak to miejscowi zwarli szeregi, żeby zwalić winę na niego, cudzoziemca i jak Owen Bentall, choć starał się zachować obiektywizm, bynajmniej nie okazał mu współczucia. – Uważa, że gdyby udało mu się jakoś dowieść, że ten kontakt radiowy miał miejsce, toby się oczyścił, odzyskał wiarę w siebie. Co prawda został oficjalnie uniewinniony, ale... – Głos jej się załamał.

Nie była w stanie wyjaśnić, jaki to był cios dla jego osobistej i zawodowej godności. Potrzeba udowodnienia swojej racji stała się jego obsesją.

– Chodźmy do dyżurki – zaproponowała Bonnie Mae. – Zrobię kawę i pogadamy.

– Tim nie miał możliwości zrobienia odpisów ze swojej dokumentacji. – Alanna czuła potrzebę opowiedzenia wszystkiego, co tak długo dusiła w sobie. – Zabrał ją... nie kto inny, tylko Owen Bentall, więc miałam nadzieję, że wróciły na miejsce.

– Rozumiem, że nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia, czy doktor Cooke naprawdę próbował nawiązać z kimś łączność radiową. Operacja i tak była konieczna ze względu na zagrożenie płodu.

– Tak... – Dopiero teraz w pełni dotarło do Alanny, co przeżył Tim. – Z tego co wiem, sama pacjentka nie chciała robić z tego afery. Przede wszystkim nie życzyła sobie trzeciego dziecka tak zaraz po drugim. Smutne...

– Czy to dlatego tu jesteś, Alanno? – Bonnie usadowiła swoje potężne ciało na biurku i dyndając nogami, popijała kawę.

– Częściowo tak. Gdyby nie ta sprawa, może bym nie przyjechała.

– Pewnie, że nie. – Bonnie Mae rzuciła jej przenikliwe spojrzenie. – Jesteś lekarzem zbyt wysokiej klasy, żeby się zagrzebać w takim miejscu. Założę się, że mogłabyś przebierać w posadach.

– Pochlebiasz mi, Bonnie. – Uśmiechnęła się zażenowana. – A co się stało z doktorem Debrayem?

– Wcale ci nie pochlebiam. Zniknął. Więcej nie zostanie u nas zatrudniony.

– No a ty, Bonnie? Jesteś wspaniałą pielęgniarką, co ciebie trzyma na Północy?

– Och... – Oczy Bonnie spoglądały daleko przed siebie jakby w poszukiwaniu odległych horyzontów. – Są dwie przyczyny. Po pierwsze... to ambitne zadanie, a ja lubię takie zadania. Tu wykorzystuję wszystko, czego się nauczyłam. Po drugie, z powodu Chucka. To mój chłopak, jest pilotem w firmie czarterowej. Mamy zamiar się pobrać, kiedy tylko zbierzemy dość pieniędzy, żeby mógł założyć własną.

– Rozumiem. Jesteś bardzo dzielna.

– Wcale nie. Podtrzymuje mnie myśl o Chucku. On mieszka tu ze mną. Tak jest wygodnie. Gdybym mieszkała w mieście, widywalibyśmy się znacznie rzadziej. – Dotknęła pierścionka z brylantem, który zawsze nosiła na szyi.

– Proszę cię, Bonnie, nie mów Owenowi, że jestem siostrą Tima... Jeszcze nie. Sama mu o tym powiem... w odpowiednim czasie.

– W porządku, Alanno. Wiem, że jego sądy bywają pochopne. Posłuchaj, przyszło mi coś do głowy. Może Chuckowi udałoby się dowiedzieć czegoś o tym

wzewaniu radiowym, jeśli znasz dokładną datę i godzinę. Chuck zna tutaj większość ludzi ze stacji meteorologicznych. Niektórzy z nich mają swój własny sprzęt, którym zabawiają się w wolnych chwilach, próbując rozmawiać z całym światem. Może któryś z nich coś usłyszał.

– To byłoby wspaniałe, Bonnie. Dziękuję ci.

– Będzie dziś do mnie dzwonił. Powiem mu.

To był dobry dzień, powiedziała sobie Alanna, jedząc swoją kolejną samotną kolację. Otworzyła butelkę lekkiego białego wina, przyjemnie schłodzoną w śniegu, jedną z tych, które przywiózł Owen. Patrzyła przez okno na zatokę i wielkie nieregularne bryły lodu, zepchnięte przez lodolamacz na brzeg. Wkrótce zaczną topnieć. Już teraz wydawały się mniejsze.

Po południu razem z Bonnie Mae odebrały dziecko, jej pierwszego noworodka w Chalmers Bay. Matka i maleństwo zostaną w klinice jeszcze dwie doby. Doglądać ich będzie Nuna, pomoc pielęgniarska z wioski. Teraz w stacji panował spokój. Bonnie Mae zeszła z dyżuru. Skip został przy małym Johnie. Gdy zadzwonił wewnętrzny telefon, Alanna odebrała go z pewną obawą.

– Manno, nie wybrałaś się ze mną i z Chuckiem do baru? Mamy dzisiaj gościnny występ. Będzie śpiewać Jodłujący Joe; jest całkiem niezły.

– Jodłujący Joe? – roześmiała się Alanna. – To chyba nie ten Joe, który pracuje w kuchni?

– Nie, chociaż założę się, że gdyby zechciał, to też by umiał jodłować. Co ty na to? Weźmiemy beeper, żeby w razie potrzeby Skip mógł nas wezwać.

– Bardzo chętnie, Bonnie. Dzięki.

– Wstąpimy po ciebie za piętnaście minut.

– A więc to takie rzeczy wyprawia się za moimi plecami!

Alanna jak wryta stanęła w drzwiach, a jej beztroski nastrój zgasł. Było około wpół do dziesiątej. Właśnie wróciła z baru i stanęła twarzą w twarz z Owenem Bentallem, którego sardoniczny uśmiech nie wróżył nic dobrego.

– Owen... co ty tu robisz? Miałaś wrócić jutro wieczorem. Dlaczego tak wcześniej?

– W ostatniej chwili nadarzyła mi się okazja. Był dodatkowy lot, a że zrobiłem już wszystko, co miałem zrobić, więc skorzystałem.

Ubrany był po domowemu i wyglądał na zmęczonego. Cień zarostu pokrywał jego szczękę. Na stole stał talerz z resztkami jedzenia, kieliszek i butelka, którą Alanna zostawiła wychodząc. Pusta.

Zsunęła parkę i buty.

– Bonnie i Chuck zabrali mnie na występ Jodłującego Joe – wyjaśniła, uśmiechając się na to wspomnienie.

– Ciekawe, nie darowałabym sobie, gdybym to opuściła.

Było kilka znajomych twarzy. A jak tam kopalnia?

A jednak dobrze było znów go zobaczyć. Chcąc pokryć nagły impuls, by zarzucić mu ręce na szyję, zajęła się zbieraniem pozostałości po posiłku ze stołu.

– Kopalnia w porządku. Wiesz, powinnaś się wystrzegać bliższych znajomości z facetami stąd... Z nimi możesz liczyć tylko, to znaczy w większości wypadków...

– Wiem – ucięła. – Nie mam zamiaru nawiązywać „bliższych znajomości”. Ale to chyba nie twoja sprawa?

– Nawiasem mówiąc, w barze był taki hałas, że poza Bonnie i Chuckiem z nikim nie zamieniła dwóch zdań.

– Widziałem wiele niefortunnych związków, które zrodziły się tylko z samotności. Żaden z nich nie utrzymał się po powrocie do normalnych warunków. W pewnym stopniu czuję się za ciebie odpowiedzialny.

– Czyżby? – Nie starała się ukryć ironii. – Nie martw się. Pamiętam, że będę tu bardzo krótko.

– To dobrze.

– Dlaczego wróciłeś tak wcześniej? Nie wierzyłeś, że utrzymam posterunek? – Mimo woli w jej głosie za brzmiała nuta gorzkości.

– Jak już ci mówiłem, nadarzyła się niespodziewana/ okazja, to wszystko. No, może nie wszystko. Brakowało mi ciebie.

– Och... – Zakrzętnęła się przy zlewozmywaku, puściła gorącą wodę. – Mnie też. To takie dziwne uczucie... być gdzieś, skąd nie ma wyjścia. Jak w pułapce. Kiedy ty tu jesteś, mniej o tym myślę.

– Tak, rozumiem. – Przyglądał jej się z namysłem. – A wracając do spraw bardziej przyziemnych, podczas twojej nieobecności pacjentka miała niewielki krwotok poporodowy.

– Och, nie!

Alanna upuściła sztućce, które trzymała w ręku. Panika zajęła miejsce uczucia ciepła, które wywołało jego wyznanie, że mu jej brakowało. Od razu pomyślała o pacjentce swojego brata, katastrofie, śledztwie. Czyżby Owen znajdował sadystyczną przyjemność w ściągnięciu jej na ziemię?

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Czy próbowali mnie wezwać? Miałam przecież beeper. – Ogarnęło ją poczucie winy. – Nie powinnam była wychodzić.

– Nic się nie stało. Nuna i Skip dali sobie radę. Nie mieli zamiaru cię wzywać. Ja wiem o tym tylko dlatego, że poszedłem do kliniki, żeby cię poszukać. Z pacjentką wszystko w porządku.

– Przepraszam, pójdę tam.

– Alanno! – Ujął ją za ramię. – Wszystko jest w porządku!

– Muszę iść. – Odepchnęła go.

W klinice panowały cisza i spokój. Przy stole, w kręgu lampy, Nuna czuwała nad śpiącą matką. Tuż obok, w płóciennym łóżeczku rozpiętym na metalowej ramie, spało dziecko.

– No jak, Nuna, wszystko w porządku? – spytała szeptem.

Nuna wyszywała kawałek miękkiego zamszu paciorkami w jaskrawych kolorach. W uśmiechu, który rozjaśnił jej gładką okrągłą twarz, czarne oczy niemal zniknęły nad pulchnymi policzkami.

– Wszystko dobrze. Mierzę ciśnienie co pół godziny. Tętno co kilka minut. Nie budzi się. Wcześniej trochę krwawiła, ale po masażu przestała.

– Dużo krwi straciła?

– Może ćwierć litra... niewiele. Zresztą właśnie szła kroplówka. To dlatego, że ona ma siedmioro dzieci, jedno po drugim. Za dużo. Macica nie kurczy się dobrze po porodzie, dlatego krwawi.

– Tak. Rzucę tylko na nią okiem i sprawdzę poziom hemoglobiny. W razie najmniejszych problemów dzwoń. A jak dziecko?

– Dziecko dobrze.

Zanim wyszła, zdecydowała się zadzwonić do Bonnie Mae. Miała nadzieję, że pielęgniarka jeszcze nie śpi.

– Skip mówił mi, że krwawienie zaraz ustało – powiedziała jej Bonnie. – To nic takiego, Alanno. – Zamilkła na chwilę. – Czy doktorek ci dokuczał?

– Tak jakby... Czuję się okropnie winna, że wyszłam.

– Niesłusznie. Musisz czasem wyjść, rozerwać się. Ja mam Chucka, przy którym zapominam o pracy. Dla nas, widzisz, to luksus, że w ogóle mamy lekarza. Nie tak dawno musieliśmy radzić sobie ze wszystkim sami i jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Oczywiście nie chciałabym, żeby to wróciło, ale nie ma też powodu, żebyś! się czuła winna. Jasne?

– Tak. Dzięki, Bonnie. Dobranoc.

Ku jej uldze Owen był w sypialni. Szybko więc udała się do swojej i zaczęła szykować się do snu. Pod gorącym prysznicem rozpamiętywała wydarzenia dnia.

Rozczesywała właśnie w pokoju mokre włosy, gdy rozległo się pukanie do

drzwi. Szybko włożyła szlafrok na nocną koszulę i dopiero wtedy otworzyła.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czy w klinice wszystko w porządku.

Owen miał na sobie ciemny szlafrok frotte. Spomiędzy rozchylonych klap wyczierała opalona klatka piersiowa, porośnięta ciemnymi włosami. Alanna uświadomiła sobie, że mimo woli obrzuca go taksującym spojrzeniem.

– Tak. Jak wiesz, są tam Nuna i Skip.

– Przepraszam, jeśli odniosłaś wrażenie, że cię poganiam, czy coś w tym rodzaju. To takie przyzwyczajenie z przeszłości. Nie ma nic wspólnego z tobą. Obiecuję, że wkrótce się go pozbędę. Dobranoc. – Niespodziewanie pocałował ją w policzek i szybko przytulił, a ciepłe palce musnęły jej szyję. – Śpij smacznie.

Chwilę stał i przyglądał się jej tak, jak ona jemu.

– Dobranoc, Owen. Nie zapominaj o swoich własnych radach – szepnęła i zamknęła drzwi.

Czuła się dziwnie zawstydzona. Chyba dlatego, że nie umiała wyciągnąć do niego ręki i zaprosić go do łóżka. Tak bardzo tego chciała... i wiedziała, że on też, choć może wbrew sobie. Z żalem musiała przyznać, że brak jej doświadczenia, swobody, odwagi. Chwila minęła.

Wiatr to wzdychał, to targał budynkiem, jakby tam na zewnątrz zebrały się duchy przyrody. Tak zapewne tłumaczyli to sobie kiedyś Inuici. Leżała, nasłuchując znajomych już dźwięków. Gdzieś w wiosce zawył pies. Czekaając na sen, myślała o pacjentach, o Jodłującym Joe, o Timie... i o Owenie Bentallu.



## Rozdział 8

Mijały dni, potem tygodnie. W Chalmers Bay i w okolicach powoli topniał śnieg. Białe wysepki lodu lśniły na tle odsłoniętego przez odwilż błota i żwiru; wyglądało to jak jakiś dziwaczny bruk. Temperatura wzrosła i w połowie czerwca ustaliła się na poziomie między trzema a czterema stopniami. Powietrze było przejrzyste, rozkoszne. Z dachów stale kapła woda, a w nocy nie padał już śnieg. Dni się wydłużyły, potem nastał okres, gdy zamiast nocy zapadał zmierzch, aż wreszcie zapanowała jasność przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nartosanie ustąpiły teraz miejsca trójkołowcom i rowerom terenowym na niesamowicie grubych oponach, zdolnych utrzymać pojazd na nie brukowanej drodze i amortyzować wstrząsy. Dzieci jeździły na nich, śmiejąc się i nawołując, ciesząc się zapowiedzią lata. Alanna też nauczyła się na nich jeździć, jak również prowadzić należącą do stacji ciężarówkę. Znajdowała upodobanie w spacerach wokół Chalmers Bay i dalej, po tundrze. Zawsze brała strzelbę i zanadto się nie oddalała. Owen zorganizował kilka wycieczek helikopterem i cessną. Lądowali gdzieś w odpowiednim miejscu i spacerowali.

W czasie tych wypraw magia Północy zaczęła stopniowo przybierać formy realne i żywe. Widzieli wędrujące karibu, stada śnieżnych gęsi, niedźwiedzie polarne, a raz nawet czarnego, wilki. Owen pokazywał jej rośliny: jałowiec, żurawinę, bażynę, malinę. Fioletowa skalnica, jeszcze nie rozkwitła, rosła dzielnie między skałami pokrytymi liliowymi, pomarańczowymi, srebrzystymi i złotymi porostami.

Przelatując nad zatoką, widzieli białe wieloryby, jak płasają w lodowatej wodzie, i tajemnicze narwale, których cętkowane ciała i długie zakręcone kły mąciły powierzchnię morza. Owen obserwował ją, objaśniał tylko to, o co zapytała, nie starał się zaimponować jej wiedzą ani doświadczeniem. Wzbudzało to jej szacunek.

Od tego wieczoru w połowie maja, kiedy pocałował ją w policzek, nieczęsto spędzali wieczory we dwójkę. Skoro ciemność ustąpiła miejsca wiecznemu światłu, nie było powodu, by siedzieć w zamknięciu. Ale od czasu do czasu uprzytamniała sobie, że tęskni za tym, by być z nim sam na sam.

– Masz ochotę przejść się ze mną na kilka wizyt, Alanno? – spytała od niechcienia Bonnie Mae pod koniec pewnego dnia pracy.

Było w jej tonie coś, co sprawiło, że Alanna przytaknęła, o nic nie pytając.

- Tak, chętnie pójde.
- Świetnie. Mamy Charliego Patychuka i to dziecko, które się urodziło w niedzielę.
- Powinniśmy już dostać zdjęcie jego klatki piersiowej. Jakoś długo to trwa.
- Myślę, że możesz go uspokoić – wtrącił się Owen. – Nie widziałem na nim nic nowego.
- Nie sądzę, żeby Charlie czekał z zapartym tchem – powiedziała cierpko Bonnie. – Będzie żyć, jak potrafi, no i oczywiście dalej palić. No, chodźmy.
- Czy mi się zdawało, czy w twoim głosie była jakaś tajemnicza nuta, Bonnie?
- Szły szybkim krokiem świeżo wyłonią pod śniegu ścieżką, coraz dalej od stacji.
- Nie zdawało ci się. Cały dzień czekałam na okazję, żeby z tobą pogadać. Wczoraj wieczorem dzwonił Chuck. W stacji meteorologicznej Moose Lake jest pewien facet, który w książce raportów ma odnotowany sygnał, jak twierdzi na pewno z naszej stacji, z tego dnia, kiedy doktor Cooke próbował nadawać. Pora też się zgadza.
- Och, Bonnie, to pewne?
- Jak najpewniejsze. Chuck przyjeżdża do Chalmers Bay na weekend. Przywiezie fotokopie tego wpisu w książce raportów. Ten facet sam mówi o sobie, że ma lekkiego fioła na punkcie porządku, więc trzyma wszystkie swoje raporty latami.
- Cudownie! – Alanna spontanicznie uściskała Bonnie. – Wprost trudno mi w to uwierzyć. Minęło tyle czasu. Mój brat już chyba zaczął tracić nadzieję.

Charlie Patychuk siedział w pokoju, dłubiąc nożem w kawałku kości. W popielniczce zarzył się zapalony papieros.

- *Nani nunaqaqaqpit?* – spytał, gdy Alanna skończyła go badać.
- Pyta, skąd pochodzisz – odpowiedziała Bonnie Mae.
- Z Anglii. – Alanna uśmiechnęła się do staruszka.
- Ach... – Pokiwał głową.
- Nie ma dziś ochoty mówić po angielsku – wyjaśniła Bonnie, gdy wyszły. – Czasem lubi sobie w ten sposób dodawać ważności.
- Wpadły jeszcze do matki z nowo narodzonym dzieckiem i wróciły do stacji.
- Dobranoc, Bonnie. Powiedz Chuckowi, że jestem mu ogromnie wdzięczna za pomoc.
- Sama mu powiedz. Wybierzesz się na tańce w sali parafialnej? Weź doktorka

jako asystę. Nie ma tutaj zbyt wielu rozrywek.

– Z wielką chęcią. – Wizja Owena Bentalla pląsającego zwawo w sali parafialnej przywołała uśmiech na jej twarz. – Z doktorem Bentalem czy bez.

– No to dobranoc, do jutra.

Tego wieczoru razem z Owenem opracowywali plan akcji ratowniczej na wypadek katastrofy w kopalni. Pochyleni nad swoimi notatkami sączyli białe wino. To był ich pierwszy wspólny wieczór od dłuższego czasu.

– Skończmy na dzisiaj, dobrze? – Owen wstał i przeciągnął się. – Jestem głodny jak wilk. Co by pani powiedziała na kanapki i kawę, pani doktor?

– Zaraz zrobię.

– Nie, nie... ty odpoczywaj.

Alanna westchnęła z zadowoleniem. Owen pogwizdywał bezdźwięcznie w ich ciasnej kuchni. Dziwne, ale mimo tęsknoty za domem za nic nie chciałyby teraz być gdzie indziej ani z kim innym.

– O czym myśli refleksyjna pani doktor? – Owen obserwował ją przez okienko w drzwiach.

– Właśnie myślałam, jak dobrze nam się razem pracuje. Zabawne, zważywszy, jaki podły byłeś dla mnie na początku.

– Masz rację... w jednym i w drugim. Przeprosiłem. Czy mam paść na kolana?

– Chciałabym to zobaczyć! Ale na razie nie jest to konieczne.

Że też był taki pociągający! Nawet gdyby miał, jak to mawiała jej matka, twarz jak trampek, i tak oczarowałby ją swoją osobowością. Tak... kochałaby go niezależnie od wszystkiego. Mój Boże, co ty mówisz, zgromiła się ostro, jakby powiedziała to na głos. Nawet nie myśl o tym.

Chcąc ukryć zmieszanie, wstała i włączyła radio. Cóż, to prawda. Uwielbiała go beznadziejnie. Dlatego nie mogła znieść jego bliskości, nie chciała, żeby jej dotykał. Bała się zrobić z siebie idiotkę. W końcu zostały już tylko cztery miesiące. Wiedziała, że i ona pociąga go fizycznie, ale to zapewne wszystko. Wkrótce pójną swoimi drogami i nigdy już nie zobaczy Owena Bentalla. Nigdy to bardzo długo...

Radio grało wiązanek starych melodii z musicali. Ich wesołość wydała się Alannie sztuczna, działała jej na nerwy. Wyciągnęła rękę do wyłącznika.

– Nie wyłączaj, Alanno. – Owen wszedł do pokoju z dwoma talerzami kanapek.

– Ja lubię stare piosenki... może i trochę przebrzmiałe, ale to miły odpoczynek od dzisiejszego cynicznego świata.

Odwrócił się do niej i wyciągnął ramiona jak do staroświeckiego walca. Z

entuzjazmem ruszyła do tańca. Miejsca nie było za wiele. Okrążali stół, coraz bliżej siebie. Alanna przymknęła oczy.

– Teraz powinien zadzwonić telefon, że mamy ostry wyrostek do operacji – powiedziała.

– Albo pijanego marynarza, któremu ość utkwiała w gardle.

Śmiali się oboje. Alanna znów doznała uczucia, że ich znajomość zmieniała charakter. Na czym to polegało, nie mogła sobie uprzytomnić w jego drażniącej obecności, z twarzą tuż obok jego twarzy.

– Masz cudownie piękne oczy, Alanno... jak oczy łani w słońcu przeświecającym przez liście – powiedział z nieoczekiwaną czułością. – Oddają każdy twój nastrój, każdą myśl...

– Nie wiedziałam, że jestem tak przejrzysta.

Uśmiech na jego twarzy powiedział jej, że oczy rzeczywiście ją zdradzają. Rozchyliła wargi, czekając na nieunikniony pocałunek. Cała siła woli ją opuściła. Stali w ciasnym uścisku w tym pokoju, który był już świadkiem tylu grzecznych odwrotów. Zamknęła oczy. Nagle muzyka skończyła się, a z nią pocałunek. Owen odsunął się. Oczy miał ciepłe, lecz nieodgadnione. Gdyby ją teraz poprosił, żeby poszła z nim do łóżka, zgodziłaby się. Nie poprosił.

– Jedz kanapki. Kawę zaraz przyniosę.

Wrócił do kuchni, a ona usiadła i zmusiła się do jedzenia.

– Pyszne! – zawołała. – Pospiesz się, bo jeszcze zjem twoje.

Pili kawę, oglądając stary program telewizyjny. To znaczy przynajmniej Alanna udawała, że ogląda, starając się nie myśleć o tym, iż Owen siedzi w odległości kilku metrów. W końcu wstała.

– Dobranoc, Owen.

Spojrzał na nią, a z jego twarzy nic nie dawało się wyczytać.

– Dobranoc, kotku – odpowiedział.

Następne dwa dni wypełniła im praca. Teraz, gdy było już cieplej i mieszkańcy częściej wychodzili z domów, personel stacji zaczął akcję masowych prześwietleń, aby wykryć gruźlicę. Alanna stale miała co robić.

W piątek poszła na pocztę. Było dla niej sporo listów. Od mamy i Tima, od kuzynki z Australii i od przyjaciół, którzy najwyraźniej sądzili, że ona czuje się tu strasznie samotnie. Przysiadła, aby jeszcze przed wyjściem do mieszkania przeczytać list mamy.

Gdy wchodziła, już z daleka usłyszała świdrujący dzwonek telefonu. W

słuchawce odezwał się zmartwiony i zdyszany głos Bonnie.

– Alanna? Doktorek do ciebie idzie. Przed chwilą był tu Chuck i wszystko wychlapał przy nim... o doktorze Timie Cooke'u i stacji meteorologicznej, że on jest twoim bratem, no dosłownie wszystko. Rany, Alanno, tak mi przykro. Nie przyszło mi do głowy, że otworzy japę. Mówiłam mu, że to ma być sekret, ale myślał, że doktorek wie – tłumaczyła przeprasającym tonem.

– W porządku, Bonnie. Nic nie poradzimy. Kiedyś musiał się dowiedzieć; równie dobrze może być teraz. Nie martw się, poradzę sobie. Dzięki za ostrzeżenie.

Gdy odkładała słuchawkę, usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe.

– A więc jesteś siostrą Tima Cooke'a. Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytał szorstko, stanąwszy tuż przed nią.

Jakie to ma znaczenie? – Uznała, że najlepszą obroną będzie atak. – Zresztą miałam zamiar ci powiedzieć. Czekałam tylko na odpowiedni moment. A nie powiedziałam ci od razu, bo Tim twierdził, że nie byłeś do niego zbyt życzliwie nastawiony. Przypuszczałam więc, że do mnie też nie będziesz, że nie spodoba ci się mój zamiar, żeby zdobyć więcej informacji o tej sprawie... udowodnić pewną rzecz. Poza tym, gdyby to było wiadome, mogłabym nie dostać tej pracy...

– Ja miałem zrozumienie dla jego sytuacji – przerwał jej. – Ale nie byłem tu po to, żeby się nad nim litować. Miałem być bezstronny i starałem się być bezstronny. Dziecko nie żyło. Jeśli się nad kimś litowałem, to nad nim.

– Wiem. – Narastające napięcie sprawiło, że jej głos zabrzmiał zbyt ostro. – Ale Tim zrobił wszystko, co mógł, to nie była jego wina. Teraz jest dowód, że próbował wezwać pomoc.

– A więc przyjechałaś do Chalmers Bay, żeby się tego dowiedzieć? A ja przez cały czas myślałem, że chciałaś naprawdę pracować dla Północy, dla tych ludzi, że może zechcesz tu wrócić...

– I rzeczywiście chciałam... chciałam coś zrobić dla Chalmers Bay... i ten plan akcji ratunkowej...

– Przyjechałabyś tu, gdybyś nie była jego siostrą? Przyszłoby ci to w ogóle do głowy?

– Nie wiem... Tak, myślę, że tak. Dowiadywałam się o tę pracę, jeszcze zanim Tim wrócił.

– Wątpię. Dlaczego twój brat nie może sam załatwiać swoich spraw?

– Dopóki tu był, zrobił wszystko, co mógł. Potem musiał wyjechać. Te fałszywe oskarżenia, ta hańba, zupełnie go załamały.

– Co chciałaś osiągnąć?

– Może wznowić śledztwo, oczyścić jego nazwisko, zmienić wpis w aktach... – Jej głos zdradzał, że jest bliska łez.

– Czemu nie powiedziałaś mi od razu? – spytał znowu.

– Po co? Tim mówił, że jesteś arogancki, bezwzględny. Uważał, że mogłeś mu pomóc, ale nie chciałeś. Sądząc po tym, jak się zachowałeś przy naszym pierwszym spotkaniu, byłam skłonna przyznać mu rację. – Atmosfera w pokoju zrobiła się zdecydowanie nieprzyjemna.

– Prawda jest taka, że miałem dla doktora Cooke'a wiele uznania za jego postawę w tej sytuacji. I jak już mówiłem, uważam go za dobrego lekarza. Komisja zajęła w końcu stanowisko, że Debray chciał ratować swoją skórę jego kosztem. O ile sobie przypominam, Tim Cooke został właściwie oczyszczony z zarzutów.

– Właściwie – podkreśliła z goryczą. – Dla mojego brata to za mało. Nikt mu nie uwierzył, że wzywał pomocy, że chciał natychmiast operować. On chce dowodów, a potem rehabilitacji na piśmie od właściwych organów.

– To oczywiście, że trzymasz stronę brata. – Mierzył ją zimnym spojrzeniem. – Wiele żadasz.

– Nie sądzę. – Zacisnęła pięści. – Zwłaszcza teraz, kiedy jest dowód.

– I pewnie oczekujesz, że ja coś zrobię?

– Niczego po tobie nie oczekuję. Mam jeszcze cztery miesiące, żeby postanowić, jak to przeprowadzić.

– Cztery miesiące? A więc zamierzasz tkwić tu do końca?

– Oczywiście. – Spojrzała zdziwiona.

– Nic tu nie jest oczywiście! Wyobrażam sobie, że teraz, kiedy już masz to, czego chciałaś, zabierzesz się stąd przy najbliższej okazji, a już na pewno przed zimą. Zawsze ta sama historia. – Mówił szyderczym głosem. – Staramy się stworzyć zespół ludzi, którzy przyjeżdżaliby tu od czasu do czasu. To nie jest zwykły kontrakt, to szkolenie. A ty przecież nie wrócisz.

– Bądź łaskaw nie robić założeń na mój temat. Nie jestem Glorią. – Słowa z trudem przechodziły jej przez wargi zeszywniałe z wysiłku, by trzymać uczucia na wodzy. – I nie odpowiadam przed tobą!

Oboje ciężko oddychali. Alanna jeszcze nigdy nie widziała, żeby był taki blady i napięty. Zapewne z gniewu. Zmarszczone ciemne brwi, oczy zimne.

– Czyżby? To był mój czas i wysiłek, żeby cię nauczyć wszystkiego o tym miejscu, całej cholernej organizacji! I pomyśleć, że podziwiałem cię za to, iż tu przyjechałaś! Nadal zresztą cię podziwiam. Przyjechać z takiego powodu... Nieraz

już widziałem, jak ludzie zbierali swoje manatki i za godzinę już ich tu nie było. Teraz nie masz żadnej motywacji, żeby to ciągnąć.

– Powtarzam, że dotrzymam warunków kontraktu. Bez mrugnięcia wytrzymała jego drwiący wzrok.

– Czyżby? – powtórzył.

– Czasem naprawdę cię nienawidzę – powiedziała cicho.

Musi być jakiś sposób, żeby się przebić przez ten jego pancerz pewności, że ona zdradzi.

– O, tylko czasem?

Stali naprzeciwko siebie. Jego nic nie obchodzi, tylko żeby stacja miała personel, pomyślała. Nie zmienił się.

Nie mogąc znieść tego dłużej, mruknęła „przepraszam” i uciekła do kuchni. Nie ma o czym mówić. Zaczęła się krzątać, by zrobić herbatę. Gardło miała ściśnięte. Stał przed oczami Tim po powrocie do Anglii.. . w depresji... niezdolny do pracy... Kilka łez spłynęło jej po policzkach. Wytarła je papierowym ręcznikiem. Powoli, jak najwolniej, szykowała herbatę, a potem piła ją na stojąco, tyłem do drzwi.

– A mnie nie zaproponujesz herbaty? – zawołał Owen z pokoju.

– Weź sobie sam!

Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd. On zobaczy, że płakała. Odwróciła się do zlewu i zaczęła zmywać talerze. Owen nalał sobie herbaty.

– A przy okazji, dlaczego nosisz inne nazwisko? – Jego głos brzmiał spokojnie.  
– Jesteś mężatką? Rozwódką?

– Ani jedno, ani drugie.

Spojrzała na niego. Na widok jej udreńczonych oczu na jego twarzy odmalowała się jakby troska. Poczula, że łzy znów napływają i odwróciła się – za późno. Jak ma zachować godność?

– Posłuchaj, Alanno, spróbuję ci pomóc – powiedział cicho.

– Nikt cię nie prosi – rzuciła oschle, wciąż odwrócona do niego plecami.

– Mimo to chcę pomóc.

– Od kiedy? – spytała najzjadliwiej, jak potrafiła. – Od dwudziestu sekund?

– Nie. Nie bądź jędzą. To do ciebie nie pasuje.

– A co do mnie pasuje? Pokora?

Nie odwracała się. Usłyszała, jak westchnął.

– Nie zapominaj, że ja prowadziłem dochodzenie. Naprawdę rozumiem...

– Coś może i rozumiesz. Ale nie możesz zrozumieć, jak bardzo byliśmy

zdrzutotani... cała rodzina. O wszystko musieliśmy zawsze walczyć. Nie możemy sobie pozwolić, żeby stracić cokolwiek, a już zwłaszcza dobre imię, od którego zależą nasze środki egzystencji.

– Wrócimy do tego później, kiedy ochłonimy i będziemy mogli rozmawiać spokojnie, dobrze? Przyznaję, że nie miałem prawa niczego ci insynuować – powiedział łagodnie.

Istny kameleon; znowu kompletnie zmienił nastrój.

– Nie dotykaj mnie.

Straciła rękę, którą położył jej na ramieniu.

– Bądźmy znów przyjaciółmi. Przecież byliśmy przyjaciółmi.

Była bliska płaczu. I nie całkiem z powodu Tima.

– Idź stąd, proszę.

– Nie!

Nagle otworzyły się drzwi od łącznika i do mieszkania wtargnęła hałaśliwie Bonnie Mae. Po raz pierwszy bez zaproszenia.

– Cześć. – Jedno spojrzenie jej wystarczyło. – Przyszłam zobaczyć, co z wami, bo sumienie nie dawało mi spokoju. To przecież wszystko przeze mnie. Płakałaś, Alanno... No, no. Nie powinieneś być, doktorku. Nie mogę patrzeć, jak się nad nią znęcasz.

– On myśli, że skoro mam już informacje, skorzystam z pierwszej okazji, żeby uciec, Bonnie. A ja...

– Ale głupek! No, a teraz wszyscy idziemy na tańce do sali parafialnej. Na kilka godzin zapominamy o tym miejscu. Skip nas zastąpi, już z nim to załatwiłam. Nie przepada za tańcami. A ty, doktorku, masz się nią opiekować. Nie ma gadania.

W sali parafialnej ludzie tłoczyli się pod ścianami. Środek został wolny – do tańca. Było hałaśliwie, ciepło, przyjemnie. Biała mgiełka dymu z papierosów unosiła się pod sufitem i mieszała z dymem z kotłów ustawionych na zewnątrz, by odstraszać tysiące komarów, które napływały z rozkwitającej tundry.

Na niskim podium obok baru stało dwóch skrzypków i akordeonista. Stary, pomarszczony wodzirej wykrzykiwał do mikrofonu tradycyjne taneczne instrukcje. Chuck, wielki i brodaty, „solidny kawał chłopca”, jak go określił Greg Farley, poprowadził Alannę w sam środek wiru. Przyjemnie było czuć, jak bawełniana spódniczka okręca się w tańcu wokół jej nóg... i wiedzieć, że Owen Bentall został tymczasem we wprawnych szponach Bonnie Mae.



## Rozdział 9

Przez kilka następnych tygodni niewiele spała. Z niemal masochistyczną przyjemnością witała każdą pracę, jaka się nadarzyła. Mieszkanie wydawało się za małe dla nich dwojga, choć ani on, ani ona nie wracali do przedmiotu sporu.

We wtorek wieczorem zostali wezwani do cesarskiego cięcia. To był dyżur Owena. Ona już spała, gdy zadzwonił.

– Czy możesz tu przyjść i skrzyżować krew? Lynne Nanchook zaczęła rodzić.

– Och, nie!

– W tej chwili wydaje się, że nie ma zagrożenia dla dziecka. Tętno płodowe jest prawidłowe. Problem zacznie się później... czuwanie nad wcześniakiem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lynne siedziała w domu, dopóki wody nie odeszły – mówił głosem, który zdradzał zdenerwowanie. – Jest to jakiś sposób, żeby uniknąć wyjazdu do miasta.

– Przecież nie mogła powstrzymać porodu. – Alanna odruchowo wzięła Inuitkę w obronę, choć zdawała sobie sprawę, że Owen ma przynajmniej w części rację. – Dobrze, już idę.

– Będziemy operować oboje; zrobię znieczulenie zewnątrzoponowe.

W sali operacyjnej zastała wszystko przygotowane.

Lynne Nanchook była senna, ale przytomna. Dolną część ciała miała znieczuloną, na twarzy maskę tlenową;

– Nie ruszyła się z domu, dopóki nie była pewna, że nie zdąży na samolot do Edmonton – zauważył Owen.

Alanna zajęła pozycję po drugiej stronie stołu. Skip w milczeniu podał Owenowi skalpel.

Owen półgłosem zrelacjonował przebieg wydarzeń. ; Lynne rodziła już od dłuższego czasu, ale nie powiedziała nikomu, dopóki wody nie odeszły. Jednak poród nie postępował jak należy, a dziecko pozostawało w pozycji pośladkowej. W tej sytuacji Owen zdecydował się na cesarskie cięcie.

Zabieg musiał być przeprowadzony szybko. Owen zrobił poziome cięcie w podbrzuszu, następnie naciął osłoniętą macicę. Alanna gazikami osuszała pole operacyjne i podwiązywała naczynia. W osłonie bladej opalizującej błony owodniowej wyłoniło się ciało dziecka. Po jej nacięciu wypłynął strumień wód płodowych. Delikatnie uwolnili główkę.

Chwila, w której na świat przybywa nowa istota ludzka, jest zawsze niezwykle

emocjonująca. Różowoszare maleństwo było wciąż połączone z matką grubą skręconą pępowiną. Alanna założyła na nią klipsy i przecięła. Owen przytrzymał dziecko główką w dół, aby śluz i wody płodowe wypłynęły z noska i ust. Ono zaś już machało małąkami śliskimi rączkami i nóżkami i wydało kilka skrzekliwych pisków, uwerturę do pierwszego prawdziwego krzyku życia. Wszystko trwało zaledwie kilka minut.

– To dziewczynka! – obwieściła Bonnie Mae, która stała obok ze ssakiem. – Masz śliczną dziewczynkę! I dużą.

Lynne odwróciła głowę. Jej twarz miała ten szczególny wyraz ulgi i radości, typowy dla matek, które po raz pierwszy widzą swoje dziecko. Uśmiechnęła się i po twarzy spłynęło jej kilka łez. Alanna też poczuła szczypanie pod powiekami. Wszystko będzie dobrze. Nie tak, jak z dzieckiem, które w podobnych okolicznościach odbierał Tim...

– Proszę odsysać, pani doktor – mruknął Owen, a na jego twarzy malowało się coś, co mogłaby określić jako czułe rozbawienie. – Pani kolej jeszcze przyjdzie.

Miała ochotę go uderzyć.

– Przepraszam.

– O nie, nie możesz mnie uderzyć tym hakiem. Musi pozostać sterylny. Wszystko jest w porządku, pani Nanchook. Jeszcze chwila i zdejmujemy panią z tego stołu.

W sali dało się słyszeć zbiorowe westchnienie ulgi. Najgorsze było za nimi. Przez rozcięcie w podbrzuszu wyjęli łożysko. Jeszcze tylko szycie.

– Catgut chromowy numer jeden, Skip.

– Tak jest, doktorze. Zaczynam liczyć gaziki.

Gdy wrócili do mieszkania, żeby przespać to, co jeszcze zostało z nocy, Owen zrobił herbatę. Alanna wyczerpana opadła na krzesło, zrzuciła buty. Nie miała nawet siły zapalić światła.

– Dzięki – mruknęła, gdy wcisnęła jej w dłonie ciepły kubek. Życiodajny płyn był gorący i słodki. – Stan totalnego wyczerpania ma jedną dobrą stronę – odezwała się po chwili. – O niczym innym nie jesteś w stanie myśleć. Czyż nie jest miło, kiedy nie mamy dość energii, żeby toczyć bitwy na słowa?

Jeszcze jak – zachichotał. – Posłuchaj, Bonnie powiedziała, że chce wziąć dwa tygodnie urlopu od dziewiętnastego. Pomyślałem, że przedtem i my powinniśmy wyskoczyć gdzieś na kilka dni, inaczej nie uda nam się to aż do sierpnia. Na przykład w ten weekend i zostać na cztery dni. Bonnie będzie na posterunku. W

razie potrzeby raz dwa wrócimy z powrotem. Co ty na to?

Stał przed nią plecami do światła, nie widziała więc, jaki ma wyraz twarzy. Była jednak świadoma, że jej własna twarz musi wyrażać obawę.

– No cóż, marzę o tym, żeby wyrwać się stąd na kilka dni. Dokąd pojedziemy? I jak?

– Weźmiemy cessenę. Znam tu w pobliżu takie miejsce, gdzie może wylądować samolot i gdzie jest śliczne jeziorko. Zabierzemy dwa namioty i nadmuchiwą łódkę, żeby trochę po nim popływać, połowić ryby.

– Cudownie!

– Naprawdę? Przebaczyłaś mi to, co ode mnie wycierpiałaś? Zdaję sobie sprawę, ile cię to wszystko kosztuje... Poprosimy Bonnie, żeby za nas popracowała. Lynne Nanchook do tego czasu powinna już być zdrowa. Może w sobotę?

– W porządku. – Nagle ścisnęło ją w gardle. Zadała pytanie, które paliło jej wargi: – Owen... czy byłeś tam z Glorią? Nad tym jeziorkiem?

– Nie, zawsze byłem tam sam. Gloria nie przepada za wycieczkami. Kocha miasto. – Z jego tonu nic nie mogła wyczytać.

– To dlaczego w ogóle tu przyjechała?

– Uwierzysz mi... – zawahał się – jeśli ci powiem, że uznała mnie za dobry materiał na męża? Że sądziła, iż przyjeżdżając tu ze mną, doprowadzi do zawarcia tego małżeństwa? Czy to brzmi nieznośnie arogancko?

– Brzmi... ale... – ostrożnie szukała słów – jestem w stanie w to uwierzyć.

– Kiedy poznałem Glorię, byłem dość naiwny. Ale tu problem szybko się sam rozwiązał. W takich warunkach fortele nie na wiele się zdają. Ale dlaczego pytasz?

– Nie chciałabym iść w jej ślady... w niczym.

– Ja też bym tego nie chciał. Ale możesz być pewna, że w niczym jej nie przypominasz. W porządku?

– Tak. Dzięki za propozycję. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak nadmuchujesz łódkę.

– Dzielna z siebie dziewczynka. A co do łódki, to przykro mi cię rozczarować, ale pompuje się automatycznie.

– Och, na pewno znajdę sobie jakieś inne rozrywki. – Alanna wstała; było jej dziwnie lekko na sercu. – Dobranoc, Owen. Muszę się przespać, bo padnę. L.. nie jestem dziewczynką.

– Przepraszam, tak tylko mi się powiedziało. Wiem, że jesteś dojrzałą kobietą. Dobranoc.

Po raz pierwszy od dawna spała jak przysłowiowy kamień.

W sobotę rano wyruszyli cesań z Chalmers Bay, kierując się na południowy zachód. Mały samolot dźwigał wszystkie rzeczy i żywność, potrzebne na cztery dni i trzy noce biwakowania. Indianin Buck, pilot, miał po nich wrócić we wtorek w południe.

Pod nimi rozciągała się bezładna mieszanina szarości, zieleni i brązów. Dalej na południe ziemia była upstrzona jeziorami o fantastycznych kształtach. Chalmers Bay jakby nigdy nie istniało.

Alanna każdą cząstką ciała czuła bliskość Owena, ale mimo to była odprężona i cieszyła się jego towarzystwem i scenerią Arktyki. Co jakiś czas wymieniali! uśmiechy. Tim z pewnością pomylił się co do niego.. , Jezioro Lustrzane, nad którym mieli biwakować, znajdowało się tuż za linią drzew. Owen wskazał je Alarmie w milczeniu, nie starając się przekrzykiwać silnika. Gładkie i lśniące jak prawdziwe zwierciadło, odbijało słońce i porastające jego brzegi karłowate świerki. Samolot wytracił wysokość, zakołował i podszedł do lądowania.

Owen sięgnął po ukryte pod siedzeniem rybackie wadery i wciągnął je, konspiracyjnie mrugając do Alanny, która z zainteresowaniem śledziła jego manewry. Wylądowali gładko na środku jeziora, wzbijając pióropusze wody.

– Stokrotne dzięki, Buck – powiedział Owen i zwrócił się do Alanny. – Zaniosę cię na brzeg, a potem łódką przewieziemy rzeczy. Tu jest całkiem płytko.

Zeskoczył do wody, która sięgała mu w tym miejscu do bioder.

– Kucnij i obejmij mnie za szyję – komenderował. – Pochyl się do przodu.

Gdy wypełniła polecenie, jedną ręką otoczył ją w talii, a drugą podłożył pod kolana i uniósł nad wodą. Powoli i ostrożnie powędrował do brzegu.

– Do wtorku! – Buck pomachał im na pożegnanie.

Stali przy stercie pakunków i wyciągniętej na brzeg łódce. Patrzyli, jak samolot okrąży jezioro i bucząc niczym wielka pszczoła, odlatuje w kierunku Chalmers Bay.

Gdy zniknął, Owen zwrócił się do niej i położył palec na ustach.

– Ciii! Posłuchaj!

W pierwszej chwili słyszała tylko ciszę. Stopniowo jej uszy zaczęły wyławiać dźwięki otoczenia: łagodny plusk wody uderzającej o brzeg, jakby protest przeciwko obecności człowieka, cichy poświst wiatru, szelest gałęzi, daleki świergot ptaka. Nagle Alanna odczuła z całą mocą, że jest całkowicie zdana na Owena... ale i on na nią.

– Tu jest cudownie – powiedziała. – Absolutnie cudownie.

I wtedy dopadły ich owady.

– Aj! Coś mnie gryzie! – Klepnęła się w policzek. – Gdzie są te kapelusze pszczelarzy, Owen? Szybko!

– Zapnij kurtkę i włóż nogawki spodni w skarpetki – poinstruował ją rozbawiony Owen. – Wyglądasz, jakbyś cierpiała na ciężką postać choroby świętego Wita.

– Łatwo ci się śmiać – ofuknęła go. – Ty pewnie jesteś już na to uodporniony.

– Chciałbym.

Wyciągnął dwa kapelusze pszczelarskie i podał jej jeden. Z głową osłoniętą siatką poczuła się o wiele lepiej.

– Jak to się stało, że nic mi nie wspomniałeś o problemie owadów, kiedy proponowałeś tę wycieczkę? – zaatakowała żartobliwie. – Zastanawiam się, co jeszcze chowasz w zanadrzu.

– Och... może się trafić grizzli albo niedźwiedź brunatny. Gdybym cię uprzedził, nie mógłbym się spodziewać, że w środku nocy rzucisz się do mojego namiotu, szukając ochrony.

– Czyżby? – odparowała jego odzywką. – Nie jestem pewna, czy „ochrona” jest w tym przypadku odpowiednim określeniem.

– Musisz trochę pocierpieć, zanim poznasz wszystkie uroki Arktyki. Chodź, rozstawimy namioty. – Zaczął; przeciągać bagaże.

– A co z tymi owadami? Da się coś na nie poradzić?

– Nie zawsze są jednakowo dokuczliwe. Na jeziorze nie ma ich w ogóle. Gdybyś mogła nazbierać chrustu i rozpalić ogień, to ja w tym czasie rozstawiłbym namioty. Dym je odstraszy. Możesz to uznać za szkołę przetrwania.

– Dobrze, oczywiście – odparła z przesadną ironią.

W siatkowym kapeluszu czuła się jak kosmonauta. Zaczęła zbierać chrust, suchą trawę i liście. O tym, żeby ściąć któreś z tak cennych drzew, nie mogło być nawet mowy.

– Nie zapuszczaj się za daleko! – zawołał Owen.

– Niedźwiedzie i tak dalej?

– Właśnie.

Na widok jego uśmiechu serce drgnęło jej radośnie. Zarazem miło i niepokojąco było obcować z nim na płaszczyźnie czysto prywatnej. Był taki ożywiony, ale jakoś inaczej niż dotąd, taki uroczo chłopięcy. A zarazem taki męski. I bardzo, bardzo pociągający. Odwróciła się gwałtownie i podjęła poszukiwanie opału. Czuła się niezwykle szczęśliwa. Postanowiła nie robić sobie wyrzutów, że

cieszy się towarzystwem tego człowieka, choć problem Tima nie został jeszcze rozwiązany.

Wędrowała między świerkami, wciągając w nozdrza ich wilgotną woń. Ciszę mąciło jedynie wysokie, nieustające brzęczenie komarów, które na próżno usiłowały wdrzeć się pod siatkę. Cienki pas drzew wkrótce ustąpił miejsca soczyście zielonej tundrze. Wpatrzyła się w nią, daleko, daleko...

Gdy brak nowoczesnych wygod i każda zwykła codzienna czynność staje się długim i skomplikowanym zadaniem, czas mija szybko. Nadszedł wieczór, o tej porze roku prawie nie do odróżnienia od dnia. Zdradzała go jedynie pozycja słońca na niebie. Zjedli kolację, która składała się z zupy z puszki i mieszanki warzywnej zagrzanych na gazie z butli. Dym z ogniska utrzymywał owady na dystans, tak że mogli nawet zaryzykować zdjęcie osłony z głów. Zwiedzili już dość dokładnie swój brzeg jeziora. Dwa malutkie jednoosobowe namioty stały zwrócone frontem do siebie. Wpatrzeni w lustrzaną taflę, siedzieli na dużych kamieniach i pili pachnącą dymem herbatę.

– Tęsknisz za domem? – Owen spojrział na nią uważnie.

– Troszkę. Staram się o tym za dużo nie myśleć... o tym, jak daleko jestem od ludzi, którzy znają mnie naprawdę, których coś obchodzi...

Owen nadal wpatrywał się w nią intensywnie, jakby chciał postawić diagnozę w wyjątkowo trudnym przypadku.

– Czy tam, w domu, jest ktoś... albo czy był... ktoś szczególnie dla ciebie ważny? Pytałem cię już o to, co prawda nie bezpośrednio, ale mi nie odpowiedziałaś.

Tutaj nie można było wstać i wyjść do sąsiedniego pokoju. Doznała uczucia, że oboje zbliżają się ku czemuś i nie chciała uciekać, już nie.

– Był ktoś taki... starszy kolega. W separacji z żoną, w każdym razie tak twierdził. Kiedy już się zaangażowałam, stwierdziłam, że łączy go z nią o wiele więcej, niżby sugerowało pojęcie separacji. Tak więc to się skończyło.

Lekkim tonem chciała zamaskować ból, który ciągle jeszcze nie wygasł. Nie patrzyła na Owena, ale nabrzmiąta cisza powiedziała jej, że nie dał się oszukać.

– Hm... a więc dlatego jesteś taka kolczasta? – Gdy nie odpowiedziała, dodał: – Nie masz racji, mówiąc, że tu nikogo nie obchodzisz.

– Ty na przykład czułeś do mnie niechęć za to, że jestem koleżanką, nie kolegą. Bonnie Mae i Skip są kochani, ale nie zainwestują we mnie zbyt wiele w sensie uczuciowym, bo mają świadomość, że wkrótce wyjadę. Czasem czuję się bardzo samotna. Oczywiście nie teraz. Taki rodzaj samotności jest dobry dla duszy.

– Nigdy nie czułem do ciebie niechęci.

Owen dolał herbaty do blaszanych kubków. Kilka ptaków bez najmniejszego lęku podskakiwało wokół nich, wydziobując resztki z talerzy. Alanna przypatrywała im się z roztargnieniem.

– Chciałbym z tobą szczerze porozmawiać... Tego dnia, kiedy mieliśmy przygodę z niedźwiedziem... potem... właściwie już wcześniej miałem w stosunku do ciebie jakieś zapędy posiadacza. To aż śmieszne, żeby odczuwać taką zaborczość wobec osoby, którą się zobaczyło pierwszy raz w życiu przed czterema czy pięcioma dniami. Może to ci pozwoli zrozumieć, jak strasznie mi brakowało towarzystwa kobiety. Uznałem, że muszę się pohamować, bo zabrnę za daleko.

– Niefortunne związki – podsunęła spokojnie.

– Tak... To nie była niechęć... ani wtedy, ani przedtem...

Urwał. Wszystko stało w ciszy, skąpane w pomarańczowym blasku, jakby słuchało i czekało wraz z nią.

– Miałem za sobą dwa i pół miesiąca zimy tutaj ciągnął. – Jeśli się człowiek nie pilnuje, naprawdę można zwariować. Dwa tygodnie wakacji to za mało. Aż tu nagle zjawiasz się ty: świeża, młoda, piękna, pełna zapału...

– Dobrze, Owen, rozumiem.

Rozumiała, albo tak jej się zdawało, że nie obchodzi go ona, Alanna Hargrove. On potrzebuje kobiety, a ona akurat jest na miejscu. Oczywiście nie pierwszej lepszej. Musi mieć należytą prezencję i ogładę. Jak piękna Gloria, której fotografię pokazała jej Bonnie Mae. Ale znudziła mu się. Po około trzech tygodniach. „Nie pasowała do Północy”. Jak długo może trwać związek bez miłości i przyjaźni, zanim zabije go nuda? Jak długo potrwa to z nią?

– Co ty możesz z tego rozumieć. Zimą jest tu inaczej. Ciemność przez cały czas. Nieopisanie zimno. Człowiek nie ma odwagi wytknąć nosa poza stację. Dlatego uważałem, że to miejsce nie dla ciebie. Mężczyźni grają w karty, w szachy, bez końca oglądają filmy i żłopiają piwo...

– A mężczyźni i kobiety kochają się, albo „śpią ze sobą” – przerwała jego monolog. – A może ty i Gloria „uprawialiście seks”? Amerykanie tak to nazywają, prawda? Zwłaszcza gdy miłość nie wchodzi w grę. Po prostu wygodny układ na czas pobytu, bez zobowiązań. Tak? Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć: cokolwiek się zdarzy, pamiętaj, żeby się za bardzo nie zaangażować, nie spodziewaj się zbyt wiele. Nie bierz tego serio, tak?

– Alanna!

Porwała naczynia i poszła nad wodę zmywać. Robiła to długo, jak najdłużej.

Zostaną kochankami, zdawała sobie z tego sprawę. Nie potrafiła się oprzeć wszechogarniającej tęsknocie do niego. W tym cichym, pięknym miejscu życie ludzkie wydawało się takie kruche, a samotność bardziej przerażająca od utraty niezależności. Owen stanął za nią, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

– Nie gniewaj się. Nie chcę, żebyś źle o mnie myślała.

– Nie gniewam się.

– Więc co to jest? – Oparł policzek o jej włosy. – Strach? Boisz się mnie, boisz się być ze mną tutaj? Przecież nie musisz.

– Nie... nie ciebie. Jeśli już, to siebie. Boję się, co to będzie, jeśli się do ciebie przywiążę.

Mógł powiedzieć „Po co się martwić na zapas” albo coś w tym stylu, ale milczał. Musnął tylko wargami skórę na jej skroni, tuż pod linią włosów.

– Co będziesz robił, kiedy stąd wyjedziesz?

– Najpierw pojedę gdzieś, gdzie jest gorąco. Potem chyba wrócę do Vancouver, pracować z ojcem. Myślałem o tym, żeby przyjeżdżać tu od czasu do czasu, najlepiej latem. Taka ciągłość byłaby bardzo pożyteczna.

Nie spytał, co ona będzie robić, ale to nie wypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

– Czy jako dziecko byłeś szczęśliwy? Miałeś bliski kontakt z rodzicami?

– Taki sobie. Byli bardzo zajęci. Praca była dla nich na pierwszym miejscu. Nie tego chciałbym dla swoich dzieci. Ale nie wydaje mi się, żebym ja był tak obsesyjnie pochłonięty myślą o karierze zawodowej. A co do szczęścia... Chyba byłem szczęśliwy, tak jak przeciętny dzieciak. A ty?

– Ja tak samo... i Tim. Choć my zawsze byliśmy popychani do samodzielności, niezależności. Nie mieliśmy żadnego zaplecza.

– I osiągnęłaś to... a teraz pewnie boisz się stracić.

– Tak. – Chwilę rozkoszowała się jego bliskością, potem odsunęła się niechętnie. – Lepiej się ruszmy. Moje nogi zamieniły się w bryły lodu.

– Możemy wziąć łódkę i popłynąć na środek jeziora. Stamtąd jest piękny widok. No i nie ma insektów.

– Chętnie. – Odwróciła się ku niemu z entuzjazmem i napotkała jego oczy przepelnione zaskakującą czułością. – Owen, ja...

Nie wiedziała, co właściwie chce powiedzieć, wiedziała tylko, że pragnie być bardzo blisko niego. Słowa zamarły, ale on rozumiał. Gwałtowny płomień pożądania w jego oczach był dla niej odpowiedzią. Pocałowali się desperacko, jak dwoje ludzi, którzy tak długo byli sami. Wszystkie ich dotychczasowe przelotne



zbliżenia były niczym próby w teatrze, przed tym, co się dopiero rozegra. Pozostało jedynie pytanie kiedy. Wkrótce, bardzo niedługo. Gdy będą oboje gotowi. Bez względu na konsekwencje.

– Chodźmy. – Podał jej dłoń. – Proponuję włożyć grube skarpety, bo grozi nam zatrzymanie krążenia.

W skąpanym w zielonkawym świetle wnętrzu namiotu było ciepło i przytulnie. Roztarta zimne stopy i odszukała w plecaku czyste, grube skarpety.

– Alanno! – Owen stanął u wejścia do namiotu. – Zanim popłyniemy, chciałbym ci coś powiedzieć. Mógłbym na chwilę wejść? Nie miałem zamiaru rozmawiać z tobą o tym teraz, ale zmieniłem zdanie.

Chwileczkę... – Klęcząc na rozpostartym na podłodze śpiworze, odsłoniła połę namiotu. – Wchodź szybko, żeby nie naleciało komarów. Co to za pilna sprawa?; Czyżby pojawiło się stado grizzlich?

– Nie, nic takiego. Żeby przejść od razu do sedna: jakiś tydzień temu dostałem list od Dana McCormicka. Pamiętasz, kto to? No więc jego noga jest już mniej więcej w porządku zaproponował, że mnie zastąpi. To znaczy, że on by przyjechał, a ja bym wyjechał. Ostatecznie to miała być jego zmiana.

Kilka sekund po tym najzupełniej nieoczekiwanym stwierdzeniu Alanna gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Ależ... myślałam... to znaczy byłam pewna, że ty zostajesz. To znaczy... do końca października. Dopóki ja nie wyjadę.

– No tak, ale on jest gotów w każdej chwili podjąć swoje obowiązki i pracować do końca października.

Owen przyglądał jej się pilnie. Na jej twarzy odmalowała się panika. Dziwne, ale odkąd przyjechała do Chalmers Bay, zupełnie zapomniała o Danie McCormicku.

– Co mu odpowiedziałeś? – szepnęła.

– Jeszcze nic – odparł spokojnie. – Zastanawiam się i chciałbym poznać twoje zdanie.

Alanna zmieniła pozycję. Była teraz częściowo odwrócona od niego. Nie możesz wyjechać, nie możesz, miała ochotę krzyknąć.

– To znaczy, że ja też mam coś do powiedzenia? – spytała cicho. – No a chcesz wyjechać?

– Jasne, że masz coś do powiedzenia. Nie wyjechałbym, mając świadomość, że nie mogłabyś się zaadaptować do takiej zmiany. Naturalnie pod wieloma względami byłoby dobrze wrócić do normalnego życia. Nie planowałem przecież

tego pobytu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Westchnął i wyciągnął się na śpiworze. Ręce podłożył pod głowę.

– Z drugiej strony nie bardzo mi się chce wyjeżdżać. Mamy jeszcze tyle pracy nad tym planem... Czy masz jakieś preferencje? Chcesz, żebym wyjechał?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałabym zaczynać wszystkiego od nowa. Dobrze nam się pracuje, przywykłam nawet do mieszkania z tobą.

– To wszystko?

– Tak... nie. Brakowałoby mi Ciebie... przywykłam do Ciebie – powtórzyła.

Czy ja Cię nic nie obchodzę? Miała ochotę wykrzyknąć mu to pytanie w twarz.

– Czy to wszystko? – nie ustępował.

– Nie...

Owen westchnął głęboko. Po chwili przemówił takim tonem, jakby wypowiadał jakieś ogólne stwierdzenie:

– Ja unikam zaangażowania uczuciowego w obawie, że nic z tego nie wyjdzie. Ty boisz się o swoją niezależność, chociaż mnie kochasz.

Lęk i zaskoczenie pozbawiły ją zdolności obrony.

– Co za intuicja! Oczywiście, masz rację. Przepraszam, naprawdę. Nie chciałam... nie chciałam się w nic uwikłać. Jesteśmy z różnych światów. Za kilka tygodni pójdziemy każde w swoją stronę. Ale póki co, wolałabym pracować z tobą... jeśli mógłbyś mi wyświadczyć tę grzeczność i zostać. Oczywiście decyzja należy do Ciebie...

– Nie ma za co przepraszać. Tak bywa... takie rzeczy można przewidzieć. Ale nawet wtedy nie zawsze układają się dokładnie tak, jak sobie wyobrażamy.

Usiadł, tak że jego twarz, obłana kojącym zielonkawym światłem, znalazła się tuż obok jej. Z zewnątrz dochodziły ich melodyjne głosy ptaków.

– Myślałeś, że to ja wyjadę. Ale ja zostaję. Żeby nie wiem co, będę tu do końca października i wolałabym być z tobą, choć jestem przekonana, że z Danem też się świetnie pracuje.

– Jesteś doprawdy niezwykłą osobą... niezwykłą kobietą!

– Nie. Ja po prostu przyjmuję na siebie to, z czym wiem, że umiem sobie poradzić. A więc co odpowiesz Danowi?

To było prawie nie do zniesienia. Miała ochotę wrzeszczeć i tupać nogami.

– Zadzwoń do niego za kilka dni. – Gdy wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, nie cofnęła się. – Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że zabieram się stąd i zostawiam Cię jemu.

Wpatrywali się w siebie w cichym napięciu. Powoli jego rysy odmienił uśmiech.

– A więc przyjmujesz tylko to, z czym możesz sobie poradzić! A czy możesz sobie poradzić ze mną? Bo ja piekielnie chcę ciebie – powiedział.

Delikatnie musnął ustami jej wargi. Fala gorąca i tęsknoty przepłynęła przez jej ciało. Nie miało sensu udawać, że go nie rozumiała, że uważa to za wyznanie miłości. Nie było też sensu zaprzeczać, że fizycznie ona pragnie go tak samo, jak on jej, że jego najzwyczajniejsze dotknięcie czyni ją zupełnie bezbronną.

– Tak... – wyszeptała.

Z całym rozmysłem skrzyżowała ręce i płynnym, wdzięcznym ruchem ściągnęła przez głowę grubą koszulę. Potrząsnęła potarganymi włosami. Serce tłukło się jej w oczekiwaniu.

Owen nie poruszył się. Tylko oczy pociemniały mu z pożądania, gdy rozpięła stanik i strząsnęła go z siebie niecierpliwie.

– Rozbierz mnie... Alanno. – Ujął jej dłonie i położył sobie na piersi. – Nie bój się... nie spiesz się... kochanie...

Niezdarnie rozpięła guziki jego koszuli. Pocałował ją w ramię, w szyję, a potem jego usta odszukały jej wargi. Gwałtownie zdarła z niego koszulę i zanurzyła palce w jego gęste włosy. Nikt jej dotąd tak nie całował... chciała, żeby z nim wszystko było inne. Znów pochwycił jej ręce i zsunął je ku paskowi spodni. Pomagał jej, przytrzymując jej dłonie swoimi. Gdy dotknęła jego nagiej skóry, z gardła wydarł mu się niemal zwierzęcy pomruk rozkoszy.

Bezwstydnie nagi, niczym bóg z brązu, ułożył ją obok siebie. Oboje drżeli. W małym zalanym słońcem namiocie ich oddechy wydawały się bardzo głośne. Nie spiesząc się, zdejmował z niej resztę ubrania. Spoglądał na nią z góry ze zmysłowym, triumfalnym uśmiechem, ale w jego oczach było też ciepło i czułość.

– Owen... muszę wiedzieć... Czy to, że czekałeś dotąd, aby powiedzieć mi o Danie, było formą uczuciowego szantażu?

– Można to tak nazwać – przyznał z ustami tuż przy jej wargach. – A co, źle wybrałem chwilę?

Pogłaskał ją pewnie, delikatnie, od wrażliwych piersi przez krągłość bioder po miękką skórę wewnętrznej powierzchni ud.

– Idealnie – szepnęła.

Pod jego pieszczotliwym dotykiem wygięła się w łuk;

– Żeby zacytować Hamleta – mruknął ochryple, poruszając się nad nią – to „pomysł nie lada położyć się między nogami dziewczyny”.

Od tej chwili przestali mówić. Przyjęła go, przyjęła miazdzący ciężar jego ciała, a on zamknął ją w silnych ramionach. Jego usta pojmały jej wargi w niewolę. Oddała się jego szaleńczej, bezrozumnej namiętności. Straciła świadomość czasu, miejsca... pozostała jedynie świadomość jego męskości i wszechogarniającej rozkoszy.

Później siedzieli obok siebie w łódce i powoli, leniwie płynęli na środek jeziora przez srebrzystą wodę, przeszytą krwistą strzałą światła, które rzucała pomarańczowa kula na zachodnim niebie. Alanna wyrzała za burtę. Zobaczyła swoją twarz na tle kopuły nieba. Spodziewała się, że będzie odmieniona, że odzwierciedli jej wewnętrzną przemianę, miłość, która ją przepelniała. Ale twarz na wodzie odpowiedziała jej pogodnym, zwykłym spojrzeniem.

Nie rozmawiali wiele. Odległy brzeg wydawał się teraz ciemny i tajemniczy, Alanna miała wrażenie, że jej ciało jest całe posiniaczone, boleśnie uwrażliwione na obecność tego człowieka tuż obok, jakby nieodwołalnie stał się on częścią niej samej. Nigdy dotąd nie przeżywała czegoś podobnego i intuicyjnie wiedziała, że z nikim innym nie będzie to możliwe. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo kobietą, nie doświadczyła tak głęboko bliskości mężczyzny... tej pełnej tajemnic drugiej istoty, z którą razem dopiero stanowiła całość.

Odłożyli wiosła na dno łódki i głodni siebie jednocześnie rzucili się sobie w ramiona. Ich usta się odnalazły.

– Założę się, iż nie wiesz, że jest północ – powiedział, puściwszy ją. Łagodnym gestem podniósł jej twarz ku pomarańczowemu światłu. – A oto zorza polarna.

## Rozdział 10

We wtorek wieczorem Alanna szła na wizytę domową do Charliego Patychuka. Owen poszedł odwiedzić Lynne Nanchook i jej małeństwo.

Alanna nie mogła się pozbyć podejrzenia, że w płucach Charliego tli się coś bardziej złowrogiego niż zwykle zapalenie. Teraz jednak ze szpitala akademickiego w Edmonton przyszło orzeczenie, że Charlie ma rozedmę płuc, ślady po przebytej gruźlicy, ale nie ma raka. Postanowiła sama zanieść mu dobre wieści.

Wieczór był piękny. Ludzie siedzieli w blasku słońca na ławkach przed swoimi kolorowymi domami. Gdy przechodziła, machali do niej, pozdrawiali, pytali, jak się miewa. Wiedzieli, że ją zaakceptowali. Jej ciężka praca przyniosła owoce. Kilkoro dzieci szło u jej boku. Wypytywały, gdzie poleciała cesseną tydzień temu. W Chalmers Bay niewiele dawało się ukryć. Wracała do niej natrętna myśl, że ktoś zapyta ją, kiedy ona i Owen się pobiorą. Odpychała ją z niezwykłym u niej rozdrażnieniem.

Charlie Patychuk także siedział na ławce, z butelką piwa i nieodłącznym papierosem. Postanowiła nie zwracać na to uwagi. Przysiadła obok niego.

– Dzień dobry, panie Patychuk. Jak pan się czuje?

Wspaniale, po prostu wspaniale. – W uśmiechu zaprezentował wszystkie swoje zmarszczki. Najwyraźniej był dziś w nastroju do mówienia po angielsku. – A pani doktor?

Przekazała mu dobre wieści i chwilę jeszcze rozmawiali o innych sprawach. Choć miał trudności w formułowaniu angielskich zdań i ograniczony zasób słów, starał się dotrzymać jej kroku. Ożywił się, gdy powiedziała, że była nad Jeziorem Lustrzanym.

– Dobrze, kiedy słońce cały dzień, całą noc. Mój lud wierzy... że z zorzą polarną przychodzi Wielki Duch... kiedy jest cisza... i daje to, o co człowiek prosi.

– Pan też w to wierzy?

– Tak. – Spojrzał bystrymi oczami. – Ale to zależy od człowieka... musi być gotowy przyjąć.

Gdy wstała i chciała odejść, szybko uścisnął jej dłoń.

– *Matna, tiguaq.* Do widzenia. Do zobaczenia niedługo.

Ten prosty człowiek w jakiś sposób wyczuł jej skrywaną desperację. Szybko, bocznymi drózkami, aby uniknąć asysty dzieci, pomaszerowała w stronę stacji. Oczy wezbrały jej łzami. Płakała ostatnio z byle powodu. Charlie podziękował jej

w swoim języku, nazywając ją *tiguaq*, przybranym dzieckiem.

Spędziła z Owenem nad Jeziorem Lustrzanym cudowne chwile. Nigdy ich nie zapomnia, lecz teraz minęły. Ogarnął ją smutek. Teraz to ona była tą zaborczą. Nie chciała dzielić się Owenem z nikim, ani z niczym; ani z pracą, ani z kolegami, ani z żadną kobietą. Była zazdrosna o nieobecną Glorię.

Gdy byli ze sobą, szeptała mu co chwila, że go kocha. On jednak nie zdradził się ani słowem. Dłońmi, całym ciałem, swoją niecierpliwością dawał poznać, jak bardzo potrzebuje jej fizycznie... i co jest w stanie dać. Tymczasem ona wiedziała, że jest z nim związana uczuciem na zawsze.

– A jednak nie mieliśmy racji – powiedziała mu pewnego wieczoru, gdy leżeli w łóżku przy zaciągniętych zasłonach. – To, że jesteśmy razem, nie przeszkadza w naszej pracy, prawda? Powiedziałabym, że pracuje nam się wręcz idealnie.

– Mhm... zgoda. Ale wcześniej mogłoby być różnie. Musieliśmy oboje być gotowi... tak jak ja teraz. Nie, nie chowaj się przede mną.

– Myślisz, że Bonnie o nas wie? – zamruczała, składając pocałunki na jego słonej skórze.

– Jasne. Przed Bonnie niewiele się ukryje. Zresztą ona sobie tego życzyła. Można było niemal czytać w jej myślach: na miłość boską, dalej!

– Skontaktowałeś się z Danem?

– Jeszcze nie. Zachowałem drogę odwrotu – drażnił się z nią. Potem ją pocałował. – Jutro sobota. Zostańmy cały dzień w łóżku. Będziemy wstawać tylko, żeby odebrać telefon, dobrze? – szepnął jej do ucha. Jego oddech wyzwolił w jej podbrzuszu skurecz pożądania. – Chciałbym być tak z tobą przez cały czas.

– Tak... bardzo bym chciała. – Dotknij mnie, najdroższa. Pokaż mi, jak bardzo.

Alanna miała świadomość, że żyje z dnia na dzień. Nie śmiała myśleć, co będzie, gdy nadejdzie koniec października. Gdy Owen jeździł na inspekcje kopalń, tęskniła za nim tak, jak nie wiedziała, że w ogóle potrafi. To był przedsmak przyszłości. Perspektywa rozstania przerażała ją. Czasem miała wrażenie, że biegnie w wyścigu, tym szybciej, im bardziej jest zmęczona. Ze wszystkich sił starała się nie zagłębiać w myśli o przyszłości.

Trzeciego sierpnia Owen wyruszył do kopalni Black Lake, obiecawszy, że zajrzy po drodze do stacji meteorologicznej, której pracownik wychwycił wezwanie Tima. Owen podjął już wcześniej starania o rewizję jego sprawy. Gdy odjechał, tempo wyścigu, jakim stało się życie Alanny, jeszcze się wzmogło.

Następnej nocy w Chalmers Bay wybuchł pożar.

– To poważna sprawa. – Telefon Grega Farleya wyrwał ją ze snu. – Są poparzeni. Na ile mogłem się zorientować, niezbyt ciężko, z wyjątkiem jednego... Tommy'ego Patychuka. Pożar wybuchł w jego domu. Byłby uszedł cało, ale wrócił do domu, żeby ratować psa i wtedy zważył się na niego sufit. Jest w kiepskim stanie.

– Och, nie... tylko nie Tom... nie Tom! – zawołała. W nagłym błysku ujrzała szczuplutkiego, nieśmiałego chłopca, jak dumnie prezentował jej swojego psa. – A pies? – spytała pospiesznie. – Co z psem?

– Nic mu nie jest – odparł oficer. – Przez cały czas był na dworze. Ironia losu... Zaraz będziemy w klinice.

Decyzje jakby same rodziły się w jej głowie. Po pierwsze, telefon do Bonnie:

– Potrzebuję dużo ogrzanej soli fizjologicznej, sterylnych serwet, morfiny, wkłucia do żyły obwodowej i do centralnej. Zadzwoń do Owena, potem na lotnisko. Ty zadzwoń do Skipa.

Ubrała się w kilka sekund. Instynkt podpowiedział jej, żeby wziąć kurtkę, torebkę i szczoteczkę do zębów. Zamówiła rozmowę z kopalnią. Gdy na linii odezwał się głos Owena, przekazała mu nowinę i zakończyła słowami: Wracaj natychmiast!

Zanim zdążył odpowiedzieć, przerwała połączenie i zadzwoniła na lotnisko.

– Mówi Hargrove. Potrzebne mi miejsce w samolocie do Edmonton. To pilne. Proszę je zatrzymać albo nawiązać łączność z jakimś samolotem w pobliżu. Proszę dokładnie odnotować w raporcie i tę rozmowę, i dalsze pańskie starania o zorganizowanie lotu. Nie życzę sobie żadnej fuszerki.

Gdy przywieziono Tommy'ego i zdjęto z niego koc, Alanna z trudem zdołała stłumić okrzyk zgrozy i rozpacz.

– To wygląda gorzej, niż jest naprawdę – szepnęła jej Bonnie, chwyciwszy ją mocno za ramię.

Tommy był czarny od stóp do głów, spalone ubranie wżarło się w ciało. Z przedramion i dłoni skóra zwisała płatami. Spod niej przebijała czerwień.

– Nie będziemy z niego zdejmować tych resztek ubrania, Bonnie. Owiniemy go w serwety namoczone w soli fizjologicznej. I musimy mu zapewnić ciepło. Jeśli tylko znajdziesz żyłę, to podłącz kroplówkę. Wołałabym dwa wkłucia... Muszę chyba zrobić wenesekcję. Zrobimy to na nodze. Masz już morfinę... dobrze.

Jakimś cudem twarz Toma, choć czarna od sadzy, nie została poparzona. Ciągłe była gładka i dziecinna. Chłopiec cały się trząsł i jęczał z bólu, w pełni przytomny. W przypadku oparzenia największe niebezpieczeństwo stanowi wstrząs wywołany

utrata płynów ustrojowych i strasznym bólem. W miarę spadku ciśnienia zagrażała niewydolność nerek.

– Niech pani nie da mi umrzeć.

Tommy z bólu był w stanie poruszyć jedynie gałkami ocznymi.

– Oczywiście, że nie dam, Tom. Skąd ci to przyszło do głowy? – W głosie miała więcej pewności siebie niż w sercu. – Zaraz damy ci coś, żeby zlikwidować ten ból. Wszystko będzie dobrze, serduszek.

– To dobrze – wyszeptał.

W jego głosie cierpienie splotło się z całkowitą ufnością. Trochę się odprężył.

W tej właśnie chwili, gdy łzy napłynęły jej do oczu, zrozumiała, że kocha Północ i ludzi Północy, tak jak Owena Bentalla, że jest tu potrzebna i że wróci... z nim czy bez niego. Gdy następnym razem zobaczy zorzę polarną, spyta Wielkiego Ducha, co ma robić.

Do Edmonton udało jej się dostać bardzo szybko, razem z Tommym i jego ciotką, która podjęła się towarzyszyć im w drodze i zostać w mieście, dopóki stan chłopca się nie ustabilizuje. Tom został przyjęty do szpitala akademickiego. Alanna zdecydowała się poczekać z powrotem, aż minie okres krytyczny. Chciała też dotrzymać towarzystwa ciotce, która w miejskiej ciszy czuła się wystraszona i zagubiona. Zadzwoiła do Owena, żeby zdać mu relację. Od niego z kolei dowiedziała się, że poruszył już odpowiednie sprężyny w sprawie Tima.

Piątego wieczora od wyjazdu wylądowała w Chalmers Bay z uczuciem, że wraca do domu. Była zupełnie wykończona. Idąc przez halę do wyjścia, rzuciła okiem na swoje odbicie w dużym ściennym lustrze. Zobaczyła bladą, zmęczoną twarz bez śladu makijażu, z wielkimi podkrążonymi oczami i otoczoną gęstymi włosami w nieładzie. Odwróciła się, wypatrując Owena.

Jej wygląd nie był teraz dla niej ważny. Przed oczami wciąż miała poczerniałą, przerażoną twarz Tommy'ego Patychuka.

Wtem zobaczyła Owena, jak długimi susami sadzie przez halę. Stała bez tchu. W milczeniu rzucili się sobie w ramiona, tak jakby rozłąka trwała całe lata. Choć ledwo widziała ze zmęczenia, zaskoczyła ją jego bladość i mizerny wygląd. Na chwilę zamknęła oczy i odprężyła się w jego mocnym, bezpiecznym uścisku.

– Kochanie... serce... tęskniłem za tobą jak potępieniec. Wszystko dobrze?

– Tak... – Usta jej drżały. – Ja też tęskniłam... tak bardzo.

Pocałował ją łapczywie, ignorując spojrzenia przypadkowych świadków.



– Chodźmy stąd. Nie masz bagażu? Pewno nie miałaś czasu się spakować.

– Nie...

Otoczył ją ramieniem i tak osłoniętą niemal wyniósł do ciężarówki, która czekała nonszalancko zaparkowana przed wyjściem, usadowił na siedzeniu i energicznie zatrzaskał drzwi. Wtedy dopiero bez żadnych zahamowań dała upust łzom. Płakała nad Tommym Patychukiem. Ledwo zauważyła, że ciężarówka zatoczyła szeroki łuk i zjechała na wąską drogę prowadzącą od wioski w tundrę, w kierunku skalistego tarasu, gdzie zatoka wdziera się w pokryte porostami pustkowie.

Bardzo szybko i ta marna droga się skończyła. Ciężarówka podskakiwała teraz na nierównym podłożu porośniętym niską roślinnością. Owen z ledwo hamowaną gwałtownością kręcił kierownicą to w jedną, to w drugą stronę i dociskał gaz, aby wydobyć ze sponiewieranego pojazdu wszystko, co możliwe. W końcu zatrzymał go pod osłoną nagich skał.

– Wsiadaj – polecił. – Wyjdź na powietrze.

Gdy oboje stali przy ciężarówce, przyciągnął ją do siebie.

– Chodź tu. Już dobrze, kochanie, już dobrze. Tom wyzdrowieje, dzięki tobie. Wspaniale sobie z nim poradziłaś. Jestem z ciebie dumny. Cała wioska to wie.

– On jest taki młodziutki – powiedziała z rozpaczą. – Jeszcze dzieciak... taki miły, kochany chłopiec; wrócił do domu, żeby ratować psa. A teraz domu już nie ma...

– Nie martw się. Ludzie z wioski zajmą się nimi. Zawsze tak jest.

– Taki kochany chłopiec – powtórzyła, niezdolna pozbyć się wciąż żywego wyobrażenia rannego dziecka. – Skóra zwisała mu płatami, a ręce... Niewiele mogłam zrobić. O Boże, Owen... Czułam się taka bezużyteczna.

– Zrobiłaś bardzo dużo. Nikt inny w tej sytuacji nie zrobiłby więcej. Ocaliłaś mu życie. Teraz czekają go przeszczepy.

– To mój słaby punkt jako lekarza: nie mogę znieść widoku cierpiących dzieci. Problem w tym, że dorosłemu możesz wytłumaczyć...

– Wiem... wiem. On wyzdrowieje... myśl teraz tylko o tym. Możemy go niedługo odwiedzić, oboje. Rodzina też będzie się przy nim zmieniać. Nigdy nie będzie sam.

Stali tak długo, słuchając kojących westchnień wiatru. Alanna oparła wilgotny policzek o ramię Owena i przyglądała się tundrze. U ich stóp kwitły fioletowe skalnice. Po nogach drapała ją arktyczna karłowata wierzba.

Uniosła ku niemu twarz i nadstawiła do pocałunku. Zamknęła oczy przed

oślepiającym blaskiem słońca.

Smutek i napięcie zmniejszyły się stopniowo, gdy jego ciepłe usta pieściły jej wargi, budząc tęsknotę, która – wiedziała to – wkrótce odsunie w cień wszystko inne. Całą siłą swojej osobowości Owen nakazywał jej, by zapomniała. Rozpiął kurtkę i otulił nią ich oboje, po czym wsunął dłonie pod jej bluzę i nakrył piersi. Wczepiła się w jego ramiona.

– Chcę tylko ogrzać ręce... to najlepszy sposób, jaki znam – powiedział z żartobliwą skruchą.

– O tak, to im się na pewno przyda. Jakie warunki muszę spełnić, żebym mogła znowu tu z tobą przyjechać? – wyszeptała.

– Powiem ci za chwilę – mruknął. – Najpierw to...

– pod ubraniem zsunął ręce wzdłuż jej bioder, pogłaskał delikatne uda. – I to...

Uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc jej reakcję na znajomy dotyk. Ale nie był swobodny; czuło się w nim ogromne napięcie.

– Muszę być ciębie zupełnie, zupełnie pewien... Nie mogę ryzykować – powiedział.

Alanna zakwiliła pod jego intymną pieszczotą. Fala ekstazy zmyła wszystko inne.

– Owen... Owen... ktoś może nas zobaczyć. – Te słowa z trudem wydobyły się z jej ust.

– Nie ma obawy – szepnął bez tchu tuż przy jej uchu.

– W wiosce wszyscy o nas wiedzą... wiedzą, że jesteśmy tutaj. Będą nas omijać z daleka... co najmniej przez trzy godziny.

– Wszyscy... wiedzą?

– Jasne! Wszyscy co do jednego!

– Och... – Żar zapłonął w jej piersi i rozlał się na całe ciało. – Och...

– Słowo daję!

Owen niecierpliwie ściągnął z niej zbędne części ubrania. Nie stawiała oporu. Nogą odsunął je na bok.

– Och... – szepnęła znowu, odnalazłszy pod koszulą jego ciepłe ciało.

– Zostań ze mną, Alanno... na stałe – powiedział gorączkowo. – Wyjdź za mnie... wszystko, co tylko chcesz. To jest mój warunek. Bądź ze mną na zawsze. Proszę... nie odmawiaj. Zrobię wszystko, żeby cię mieć... Możemy mieszkać w Anglii, jeśli tego chcesz, albo w Vancouver... gdziekolwiek. Możemy co jakiś czas wracać tutaj. Razem możemy góry przenosić... w pracy i poza pracą. To, co jest między nami, to nie tylko więź fizyczna. Myślałem, że to mi się nigdy nie zdarzy.

Alanna, śmiejąc się i płacząc, spojrzała mu w twarz. Malowało się na niej wiele uczuć. Lęk przemieszany z pożądaniem i determinacją. Arogancja przepadła bez śladu.

– Wiedziałam to od dawna – rzekła spokojnie, czule. – Wiesz, że cię kocham, najdroższy... Oczywiście, że za ciebie wyjdę. Jak mogłeś w to wątpić? Nie musiałeś...

– To znaczy, że mogę przestać?

– Och, nie... nie, proszę. „Więź fizyczna” też się liczy...

Z okrzykiem radości i triumfu pochwycił ją w talii, uniósł i zakręcił dokoła siebie. Odrzucił głowę i zaśmiał się. Napięcie uleciało.

– Owen, jest zimno! – zaprotestowała, ale roześmiała się razem z nim.

Ich szaleńczy śmiech wtopił się w letni wiatr znad oceanu.

– W takim razie, moja kochana... – Podsadził ją przez otwarte drzwi do kabiny ciężarówki. – Schowamy się. Wskakuj!

Wsunęła się na szerokie siedzenie, a on wspiał się za nią. Oczy jej się rozszerzyły, gdy zobaczyła, że rozpina koszulę, potem pasek od spodni. Nie spuszczając z niej elektryzującego wzroku, mówił:

– Możemy wziąć ślub w anglikańskim kościele w wiosce. Mieszkańcy będą zachwyceni... zaprosimy wszystkich... będzie feta na kilka dni. Im szybciej, tym lepiej, co?

– Tak...

Jej oczy płonęły miłością. Nagle uprzytomniła sobie, że w tym wszystkim on nie powiedział, że ją kocha. Niełatwo było wypowiedzieć te dwa słowa...

– Chodź tu – rozkazał gardłowym głosem.

Ale zanim zdążyła się poruszyć, uniósł ją i położył na swoich obnażonych biodrach. Szorstkie włosy połaskotały jej nagie piersi.

– Mmm... cudownie... moja najdroższa... – Odrzucił głowę na siedzenie, oczy zasły mu mgłą, rozchylił wargi. – Będziemy tu przyjeżdżać latem... już po ślubie... kochać się w tundrze, wśród kwiatów... – mruczał.

– Tak... proszę... Kochaj mnie.

Powoli uniósł głowę i skupił wzrok na jej twarzy. Dźwignął ją za biodra, jakby nic nie ważyła, i powoli, czule zagłębił się w jej ciało. Przywarła do niego bez tchu, jakby byli jednością. Pieściła jego twarz, włosy, szeptała słowa miłości. Za jej plecami Owen zapinał swoją wielką kurtkę, tak że objęła ich oboje. Była teraz ciasno przykryta, wtulona w niego.

– Jesteś cudowna... cudowna. – Mówił zduszonym głosem, jakby trudno mu

było uwolnić się z pęt żelaznej woli, która dotąd nie pozwalała mu się w pełni odkryć. Teraz jednak bez reszty zatonął w rozkoszy. – Chciałbym być tak z tobą bez końca... na zawsze.

– Tak i w każdy inny sposób. Jestem taka szczęśliwa, że cię znalazłam.

Alanna leżała osłabła. Teraz cała wioska mogłaby tu przyjść i stanąć nad nimi, a nie ruszyłyby się. W odpowiedzi na jego ekstazę jej ciałem co chwila targały kolejne fale szczęścia. Będzie z nim, na dobre i złe. Nie może ją spotkać nic lepszego.

– Tak... – wyrzekł, poruszając się pod nią niemal niedostrzegalnie, mocno, zaborczo przytrzymując jej biodra. – Na zawsze... Kocham cię... Uwielbiam cię... Wszystko, wszystko...

Nad ich głowami przeleciało stado śnieżnych gęsi. Szum ich skrzydeł zawtórował ludzkim wyznaniom miłości. I ptaki, i oni ciałami i duchem wzlatywali ku zorzy polarnej. I wtedy Alanna zrozumiała, że Wielki Duch przyszedł do niej, dotknął jej i powiedział, choć nie wprost, którądy droga. Ta droga wiedzie na Północ, tam, gdzie ona jest *tiguaq*.